

KORNEL MAKUSZYŃSKI

BARDZO DZIWNE BAJKI

BAJKA O KRÓLEWNI MARYSI, O CZARNYM ŁABĘDZIU I O LODOWEJ GÓRZE

Nie pamiętam dobrze, ile to lat temu, może tysiąc, a może i dwa. Pamiętam tylko, że byłem jeszcze wtedy małym chłopcem, kiedy mi się to wszystko zdarzyło, co wam, dzieci słodkie, opowiem.

Tuż zaraz za granicami Polski, gdzie panował wtedy wielki i sławny król Ćwieczek i królowa Kalina, było potężne królestwo Srebrnego Szczytu. Nazywało się ono tak dlatego, gdyż w samym jego środku wznosiła się niezmierna góra lodowa, tak wysoka, że z ziemi szczytu jej nie można było dojrzeć. Widać było tylko srebrny blask. Słońce nie mogło jej stopić, a ludzie opowiadali, że w tym miejscu w niebie, w którym ta góra dotykała niebiosów, było bardzo zimno. Gwiazdy, co ponad nią świeciły, były aż niebieskie od mrozu wielkiego i wyraźnie widać było z ziemi, jak się trzęsą z zimna.

W państwie Srebrnego Szczytu panował potężny król Patyk III, który miał żonę, z domu pannę Słoczek, a na imię jej Tasiemka. Mieli oni córkę śliczną, którą nazywali Marysią.

Wielki król Patyk III był niezmiernie bogaty i słynny był na cały świat. Świat był wtedy bardzo mały, bo jeszcze nie był wyrósł i można go było na kulawym koniu przejechać we dwa dni od końca do końca. Ale co prawda to prawda, że król ten był słynny na cały świat. Bogactwa jego po tym można było poznać najlepiej, że codziennie na śniadanie zjadał siedem pieczonych prosiąt, nadziewanych konfiturami i czosnkiem, na obiad jadł sto dziewięćdziesiąt potraw i wypijał dwanaście beczek soku z kwaszonych ogórków, a na wieczerzę zjadał już za to bardzo mało, bo tylko cztery cielęta.

Chociaż to był król potężny i wielki, jednak lubił się czasem pośmiać wesoło. Ale że był z natury smutnego serca, więc ile razy chciał się śmiać, lokaje łaskotali go w podeszwy przez dwie godziny. Rządził bardzo sprawiedliwie, a kiedy się dowiedział, że jego poddanym źle się dzieje, tak się zmartwił, że płakał przez siedem dni i siedem nocy. Wtedy rycerze i hrabiowie przytoczyli wielką beczkę i łapali w nią gorzkie i słone łzy wielkiego króla. Z łez tych potem kucharz zrobił wyborny ocet, który został nazwany octem króla Patyka.

Królowa miała również bardzo dobre serce i wciąż robiła na drutach pończochy, całe życie. Ale wielkie ją ścigało nieszczęście. Ponieważ lepiej władała lewą ręką niż prawą, więc wszystkie pończochy robiła tylko na lewą nogę. I z tego powodu była niepokieszona i posiwała ze zmartwienia, i tak schudła, że się król Patyk raz jeden srodze pomylił. Chciał bowiem spróbować siły i uderzyć kopią w ścianę zamku. Ujrzał, że coś długiego stoi koło ściany, więc

porwał królową, myśląc, że to kopia, i uderzył nią w mur. Z trudem wyjmowali potem rycerze królową, która głową przebiła ścianę i bardzo krzyczała już w środku pałacu.

Dobrzy to byli ludzie, oboje sprawiedliwi i miłośni. Oboje też kochali niezmiernie córkę swoją, królowną Marysieńkę. Miała ona dziesięć lat i taka była śliczna, że pszczoły siadały na jej złotej główce, myśląc, że to cudowny kwiat, kwiaty zaś nazywały ją siostrą, a zdumione słońce zawsze zatrzymywało się w drodze, kiedy ją spotkało. Gdzie się tylko ruszyła, tam za nią leciał rój motyli. Kiedy szła przez las, ptaki śpiewały tak cudownie, jak o wschodzie słońca. Wieczorem zaś, kiedy królowna Marysieńka stanęła nad brzegiem wody, wtedy do jej stóp przybiegała fala i całowała jej nogi, wszystkie zaś ryby, w wodzie mieszkające, podpływały ku niej i wyrzucały się w górę, ponad wodę, żeby ją tylko ujrzeć.

Król—ojciec i królowa—matka byli bardzo dumni, że mają taką cudownie piękną córkę. Chełpili się też nią, gdzie mogli. Raz na rok zaś, na jej urodziny, zapraszali gości z siedmiu królestw i wydawali wielką ucztę. Jedli i pili wszyscy przez dwa dni, a trzeciego dnia wszyscy goście szli oglądać królowną. Wtedy siedziała ona przez cały dzień pod szklanym kloszem, na złotym krzeselku, aby się jej nikt nie mógł dotknąć. Bardzo wtedy była dumna i patrzyła z góry na wszystkich. Ponieważ była córką jednego z najbogatszych władców na ziemi, miała aż trzy pary pantofelków: czerwone, białe i złote. Na ten dzień wdziawała złote.

Miała na sobie również złocistą sukienkę, tak misternej roboty, że ją można było schować w pudełeczku, zrobionym z orzecha. Wtedy, w tej złocistej sukience i w złotych pantofelkach, podobna była do słonecznego promienia. Zachwycali się też nią wszyscy niezmiernie i z wielkiej radości, że król Patyk ma taką cudownie piękną córkę, goście znowu potem pili i jedli przez dwa dni.

Cóż z tego wszystkiego? Cóż z tego, kiedy w całym królestwie wielkiego tego króla nie było człowieka z gorszym sercem niżli właśnie królowna Marysia. Opowiadali nawet niektórzy, że ta cudowna dziewczynka wcale nie miała serca. Zamiast niego — powiadano — miała błyszczący, zimny kamyczek, mający tylko kształt serca. Dziewczynka ta śliczna, ta złocista królowna nigdy się nad nikim nie ulitowała, nie pożałowała nigdy nikogo, nigdy nad nikim nie zapłakała. Lecz, o zgrozo! Nie kochała ona nikogo: ani człowieka, ani gwiazdy, ani ptaka, ani muszki.

Patrzyła naokoło siebie zimnymi oczyma i nigdy się nawet nie uśmiechnęła. Raz, kiedy się bardzo czegoś rozgniewała, spojrzała na rozkwitłą różę i róża w tej chwili zwiędła. Okropnie się tym martwili starzy królestwo: potężny Patyk III i dobra a chuda królowa Tasiemka, z domu Słoiček. Nie wiedzieli, co na to poradzić, ażeby zmiękczyć złe serce prześlicznej swojej córki. Nie wiedziała, co się z nimi dzieje. Ciągle była na swoich pokojach,

których miała trzysta sześćdziesiąt pięć, albo się kazała nosić w złotej lektyce. Czasem chodziła po ogrodzie i z wielkim gniewem ścinała korony kwiatów. A one wszystkie kochały ją za to, że była tak śliczna. Nie wiedziały, że serce ma złe i kamienne.

Kiedy biedny żebrak przyszedł pod bramę pałacu i usiadł zmęczony, bo z głodu dalej iść nie mógł, królowna Marysieńka poszczuła na niego psy. Wtedy on, płacząc, uciekł i opowiedział to ludziom, którzy łamali ręce z rozpaczy.

A jednego dnia przyszła do ojca, potężnego króla Patyka, i rzekła:

— Panie ojcze! chcę mieć małego Murzyna.

Każ, by mi go przyprowadzili.

— Na co ci Murzyna? — spytał król.

— Bo chcę, aby nosił za mną ogon sukni!

Zafrasował się król, bo wiedział, że Murzyn to jest czarny człowiek, ale nie wiedział, gdzie tacy ludzie mieszkają. Rzekł tedy:

— Królowno najmilsza! W moim państwie nie ma Murzynów. Pewnie mieszkają oni w środku ziemi, a tam się nikt pójść nie odważy.

— A ja chcę Murzyna! — zawołała królowna i tupnęła nóżką.

— Skądżeż ja ci go wezmę?

— Chcę Murzyna! I będę go miała!

— Postaraj się sama o niego — rzekł król.

Królowna Marysia zmarszczyła czoło i poszła do swoich pokojów. Namyslała się tam bardzo długo. Potem kazała paziom przyprowadzić sobie małego chłopca, który ma czarne włosy i białe zęby. Kiedy jej takiego przyprowadzili, obejrzała go i rzekła:

— Zrobię z ciebie Murzyna!

Chłopiec w płacz i błagać ją począł serdecznie:

— Królowno najjaśniejsza! Jestem sierota! Nie krzywdź mnie i nie czyn ze mnie Murzyna, bo mnie do nieba nie wpuszczą.

— Cicho bądź! — krzyknęła królowna. — Zawołać mi tu kucharza!

Przyszedł kucharz, cały krwią obryzgany, czerwony na gębie i pijany, bo kucharz nie je nigdy tego, co gotuje, ale pije zawsze to, czego nie zgotował.

Upadł na kolana przed królowną i pyta:

— Czy mam zarznąć tego chłopca?

— Nie! — rzekła królowna. — Masz z niego zrobić Murzyna.

— A co to takiego Murzyn?

— Murzyn to jest czarny człowiek. Weźmij go na rożen i tak długo smal na ogniu, aż się przypali i będzie czarny.

Chłopiec biedny zaczął tak bardzo płakać, że się serce krajało. Nawet straszny kucharz się wzruszył, a królowna nie wzruszyła się zupełnie.

— Ratuj mnie, matenka moja! — wołał chłopak.

— Ach, jak nieznośnie krzyczy! — rzekła królowna. — Bierz go na rożen, kucharzu!

— Nie ma co, chodź, sieroto! — mruknął kucharz, wziął chłopca pod pachę i niesie do kuchni. Chłopiec był ledwie żywy z rozpacz i ze strachu.

— Zmiłuj się, jaśnie wielmożny kucharzu! — płakał i prosił. — Zmiłuj się nad nieszczęśliwym!

Kucharz był dobry człowiek, choć pijaczyna, i koło serca miał łaskotki. Więc mu się żal zrobiło chłopaka. Postawił go na nogi w kuchni i powiada:

— Jak się nazywasz, biedaku?

— Janek — odpowiada chłopiec.

— Jan w Oleju czy Jan Kapistran?

— Jan Kapistran!

— Boże drogi, to tak jak ja! — woła kucharz. — Jakże ja ciebie mogę na wolnym ogniu przypiekać?

— O, nie czyń tego, panie kucharzu, nie czyń tego!

— A jak mi potem głowę zetną? To co? A ja jestem taki mądry, że aż strach! Szkoda takiej głowy! Ale pomyślę nad tym, jakby i tobie pomóc, i sobie nie zaszkodzić!

— Oj, pomyśl, pomyśl, jaśnie wielmożny panie hrabio.

— Jak powiadasz? Panie hrabio? Wiesz, że ty mi się bardzo podobasz! Czekaj, Janku Kapistranku! Mam myśl. Weźmiemy cielę, osmalimy je na ogniu, a ja powiem, że to ty! A co, mądrze wymyśliłem?

— Oj, nie bardzo, dostojny panie! Przecież królowna pozna, że to nie ja. Przecież cielę ma cztery nogi!

— A ty ile masz?

— Dwie! — mówi Janek.

— Prawda, zapomniałem! Nie ma co, biedaku, chodź na rożen! Hej, kuchciki, przygotować wielki ogień!

Janek upadł mu do nóg i powiada:

— Potężny panie kucharzu, a może ja co poradzę? A może będziecie mnie całego wysmarowali czekoladą?

Kucharz w śmiech i powiada:

— Aleś ty mądry! To tylko dlatego, że się zwiesz Jan Kapistran, tak jak ja!

Wysmarował Janka czekoladą, że aż strach. Prowadzi go potem do królowej, a ona w ręce klaszcze z radości.

— Jaki śliczny Murzyn. Pamiętaj, kucharzu, abyś go co dnia rano tak przypiekał, aby koloru nie stracił.

— Dobrze, królowo! — mówi kucharz, a do Janka szepnął:

— Pamiętaj, żebyś wieczorem oblizał z siebie czekoladę, rano cię znowu wysmaruję.

Nosił tedy czekoladowy Janek ogon za królową i tylko tę miał przykreść, że wszystkie muchy na nim siadały. Przez mądrość Janka i dobre serce kucharza złość królowej na nic się obróciła, ale z innymi było gorzej. Ujrzała raz bowiem królowa Marysia, że małej dziewczynce, która jej usługiwała, łzy płyną po twarzy. Starszy lokaj bardzo ją pobił za to, że uciekła przed pieskiem królowej, który ją chciał ukąsić.

— Co to jest takiego, co tak błyszczy? — zapytała królowa, ujrawszy łzy.

— To są łzy! — odrzekła dziewczynka.

— A skąd one się toczą?

— Z serca.

— Kłamiesz! Ja widzę, że z oczu. Ale one bardzo są ładne i ja muszę mieć ich cały sznurek, jak paciorki.

Kazała więc codziennie bić dziewczynkę i zbierać jej łzy na jedwabny sznurek. Łzy były coraz większe i coraz piękniejsze. Lecz kiedy miała ich już wiele, jak paciorki, włożywszy je na szyję, krzyknęła królowa,

— Precz z tym — krzyknęła — to mnie bardzo piecze!

Rozerwała sznurek i łzy potoczyły się po marmurowej posadzce.

Wtedy zjawiły się, nie wiadomo skąd, białe, cudne gołębice, szybko zabrały je z ziemi i poleciały. A to byli aniołowie, których Bóg posłał, bo łzy sieroty są święte i muszą być schowane, jak drogie perły, w skarbcu niebieskim.

Ale królowa Marysia tego nie wiedziała. Wciąż komuś czyniła krzywdę i kogoś dręczyła. Martwił się król Patyk III, martwiła się bardzo królowa Tasiemka, z domu Słoiczek. Postanowili więc wydać za mąż królową Marysię, myśląc, że się potem poprawi. Ogłosili więc we wszystkich królestwach, że pragną znaleźć męża dla córki i że jej dają w posagu dwa dukaty, wiele strojów, tysiąc pończoch na lewą nogę, flaszkę octu z łez królewskich i pięć słoików konfitur. Były to na owe czasy ogromne bogactwa.

Królowna Marysieńka tak słynęła na cały świat ze swojej piękności, że nawet bez tych bogactw każdy ja pragnął mieć za żonę. Zjechali się więc królewicze i książęta, i grafowie . z całej ziemi. Bardzo się cieszyli z tego starzy królestwo i czekali, kogo królowna wybierze sobie na męża.

Przyjechał najpierw potężny król Drągał, taki wysoki, że wysokiej sosny używał zamiast laski. Ponieważ nie mógł się zmieścić w bramie, więc musiano wybijać wielką dziurę w murze. .Król Drągał wlaź wprawdzie przez nią, ale nie mógł podnieść głowy, bo byłby zburzył cały zamek. W czasie więc swojej bytności na zamku króla Patyka leżał na podłodze wzdłuż trzydziestu pokoi, a nogi trzymał na dworze. Bardzo on się nie podobał królownie. Z rozpaczy więc i z wielkiego smutku zjadł niechcący ośmiu lokajów i odszedł do swego królestwa. Po drodze zaś tak wzdychał, że z tego wzdychania zerwał się wielki wicher i zrywał dachy z domów.

Przyjechał potem syn polskiego króla Ćwiczka, śliczny i dzielny królewicz Gwoździk. Za niego byłaby królowna Marysieńka wyszła chętnie, bo był śliczny i miał niebieskie oczy, ale on rzekł do jej ojca:

— Panie dobrodzieju, królu Patyku! Twoja córka jest prześliczna, ale ma złe serce, bo się ani razu nie uśmiechnęła. A ja jestem polski królewicz i szlachetne serce cenię więcej niżli bogactwa!

Powiedział tak i pojechał.

Królowna Marysia strasznie się rozgniewała i z wielkiej złości wyrzuciła kijem z gniazda młode, biedne jaskółki, które piszczały cichutko nad oknem.

Przyjechał potem dziki król Haładrała, władca Arabów. Miał śliczne zęby, którymi ciągle zgrzytał, kiedy się chciał śmiać. Królowna Marysia podobała mu się bardzo i już—już chciał się z nią ożenić. Ale na niczym się skończyło Przyjechał on na ślicznym koniu, którego co dnia w stajni odwiedzał, bo lubił z nim rozmawiać. Patrzy jednego dnia, patrzy, i aż krzyknął! Oto królowna zaszła do stajni i wielką szpilką kłuje w szyję jego konia, który ludzkim głosem płacze z bólu.

— Ha! — krzyknął po arabsku król Haładrała, wskoczył na konia i pojechał.

Przyjechało jeszcze stu innych i wszyscy, poznawszy, że królowna, choć taka śliczna, ma złe serce, uciekli. Uciekł tak cesarz chiński Her—Ba—Ta, litewski król Jąkałło i brat jego, Bajzen—Kiszki, księżę japoński Bi—ba—bo, włoski grabią Larifari, francuski kawaler Bon żur, lord angielski Plum—puding i wielu, wielu innych królów, książąt i grabiów.

Królowna Marysia żadnego nie żałowała, choć jej rodzice płakali ze zmartwienia. Mówiła sobie:

— Taka jestem piękna, jak nikt! Niech sobie jadą! We mnie się i bez nich kocha cały świat.

Tak tylko mówiła, ale jej wstyd było, że każda panienka wychodzi za mąż, a od niej, jak od złego, wszyscy uciekają. Postanowiła więc im na złość wyjść za mąż koniecznie.

Siedzi raz w ogrodzie wieczorem, bardzo zła, że niebo jest pogodne, bo pragnęła, aby były chmury i aby piorun zapalił pałac. Pragnęła tego tak sobie, dla zabawy. Nagle słucha, a to słowik niedaleko wśród krzewów cudownie zawodzi.

— Cicho tam bądź, krzykliwy ptaku! — zawołała.

Lecz słowik śpiewał dalej, a tak pięknie, jak nigdy.

Królewna poczęła się przysłuchiwać, o czym on śpiewa. A on zawodził:

— O, królewno Marysieńko! cyt! cyt! Włoski masz złote, jak promienie księżycy. O, jakże ja cię Kocham niezmiernie! Żaden z królów, co tu byli, tak cię nie kocha.

Zdumiała się królewna. Najpierw gniew ją zebrał, że taki szary ptak śmie ją kochać, ale potem pomyślała sobie, że na złość wszystkim pójdzie za mąż za słowika. Więc zapytała go:

— Czy jestem piękna, słowiku?

On zaś odśpiewał:

— Jak maj, jak kwiat, jak noc wiosenna, taka jesteś piękna. Kocham cię! o! o! o! jak ja cię Kocham. Bądź moją żoną, bądź, och, bądź!

— Dobrze — odrzekła królewna — lecz zanim wezmę cię za męża, musisz śpiewać bezustannie pod moim oknem przez trzy tygodnie!

— O, dobrze, dobrze, królewno! — zaśpiewał słowik.

I zaczął śpiewać i śpiewać, i śpiewać. O gwiazdach, o księżycu, o wodzie, potem o sercu i o niebieskich oczach. Królewna dawno już odeszła, myśląc sobie, jaki to niemądry ten słowik, a on śpiewał. Słońce już weszło dawno, a on jeszcze śpiewał. Ale już ciszej, ciszej, coraz ciszej. Przestał na chwileczkę i znowu śpiewał tak cichutko, że ledwie już słyhać było.

A po obiedzie wyszła królewna do ogrodu posłuchać, czy on śpiewa. Cicho było wszędzie. Idzie do słowiczego krzaka i bardzo się rozgniewała. Słowik leżał martwy pod gałązką, bo od nadmiernego śpiewania serce mu pękło.

— Jak śmiałeś umrzeć bez mojego pozwolenia? — zawołała.

Lecz biedny słowik już jej nie odpowiedział. Taka była zła tego dnia królewna Marysia, że wszyscy się jej bali. Poszła potem na brzeg sadzawki, w której złote pływały rybki i po której dwa prześliczne pływały łabędzie. Jeden był biały jak śnieg, drugi zaś czarny. Ujrawszy królewnę, podpłynęły do niej i pochyliły nisko głowy.

— Czyś zdrowa, królewno? — zapytał łabędź biały.

— Nie nudź mnie! — odrzekła krótko ona.

— Jakże jesteś piękna, królowno Marysiu! — szepnął cicho łabędź czarny.

— Cicho bądź, bo rzucę w ciebie kamieniem! — zawołała.

Oba łabędzie bardzo posmutniały i, skłoniwszy się, chciały odpłynąć. Jej jednak nagle przyszła nowa myśl do głowy.

— Nie odpływajcie! — zawołała.

— Jesteśmy na twoje rozkazy! — zabrzmiał cichutki głos łabędzi.

— Słuchajcie! — rzekła ona. — Chcę wyjść za mąż za jednego z was.

Łabędzie trzepnęły z radości skrzydłami, aż się wielkie koła uczyniły na wodzie.

— Którego z nas wolisz? Jesteśmy jak bracia! — powiedziały.

Ona długo patrzyła na nie i wreszcie rzekła takim niedobrym głosem, że zdawało się, jakoby zimny wiatr powiał.

— Ten z was, o łabędzie, będzie moim mężem, który piękniej zaśpiewa.

— O Boże! — szepnęły łabędzie.

A czarny łabędź podpłynął ku niej, jak mógł najbliżej, i szepnął:

— Królowno, królowno miła! Jeśli masz serce, tedy nie każesz nam śpiewać.

— Co ciebie obchodzi moje serce, czarny łabędziu? Każę wam śpiewać, bo mi się tak podoba.

— A czy wiesz, królowno miła — szepnął smutno czarny ptak — że ten łabędź, który zaśpiewa raz jeden w życiu, musi umrzeć? Czy wiesz o tym, że jeszcze żaden człowiek nie słyszał śpiewu łabędzia, bo łabędź, który ma umrzeć z cudowną pieśnią swoją, płynie daleko, daleko, aż tam, gdzie w głębinach słońce ma swój pałac, skąd co rano wychodzi i gdzie wieczorem zapada? Jeśli nam każesz śpiewać, umrzemy. A na cóż tobie, śliczna królowno, naszej niewinnej śmierci? Pozwól nam długo jeszcze patrzeć na ciebie i wybierz jednego z nas na męża!

— Ten będzie moim mężem, który piękniej zaśpiewa! — zawołała ona. — Śpiewaj, biały łabędziu!

Biały łabędź, który był tak piękny, jakby ulepiony był ze śniegu, westchnął smutno i szepnął:

— Tak cię kocham, królowno, że umrę dla ciebie.

— Nie śpiewaj, bracie! — zawołał łabędź czarny.

Za późno!

Biały łabędź wpatrzył się w królownę, jak w słońce, i począł śpiewać tak cudnie, że fala przestała pluskać. Ucichło wszystko dokoła i wiatr nawet przestał szumieć. Motyle usiadły na

kwiatach, aby nawet niedosłyszalnym szelestem skrzydeł nie zmącić tej pieśni, jakiej nie słyszał jeszcze nikt na ziemi od początku świata.

Królewna słuchała, patrząc w oczy nieszczęśliwego białego ptaka. W oczach tych nagle pokazały się diamentowe łzy.

— Głośniej śpiewaj! — zawołała.

Ale on śpiewał ciszej i takie wśród niebiańskiej melodii było słyhać słowa:

“Byłem ja pięknym młodzieńcem, co słońce nosił w puklerzu, a pod puklerzem serce ze złota. Umiłowało ciebie serce moje, królewno, królewno najjaśniejsza. Byłem księciem z dalekiego kraju, lecz przepłynąłem morza, przeleciałem góry, aby być przy tobie i w oczyta twoje patrzeć, królewno, królewno, królewno

A teraz umieram dla ciebie. O, jak mi smutno, jak smutno, jak smutno!...”

Przechylił głowę, a głowa padła mu na skrzydła i skonał.

Wtedy stało się coś strasznego. Oto czarny łabędź nastroszył pióra, krzyknął głośno jakimś nieswoim głosem i zanim królewna Marysia mogła zrozumieć, co się stało, porwał ją uściskiem skrzydeł, rzucił na potężny grzbiet swój i zerwał się do lotu.

— Ratunku! — krzyknęła królewna. — Łabędź mnie porwał! Na pomoc! na pomoc!

Lecz nikt jej nie usłyszał. Wtedy ona zaczęła bić czarnego ptaka, rękami dusić go zaczęła za szyję. Jednak potężny, wspaniały łabędź pędził w górę jak czarna, burzliwa chmura. Nie zważał na jej krzyk ani na jej wołanie. Pędził w górę ogromnym lotem. Wichr począł szumieć i lodowe zimno objęło królewnę. Wtedy z rozpaczy, że nikt na jej wołanie nie odpowiada, i ze złości wielkiej poczęła głośno płakać. Były to pierwsze łzy w jej życiu, łzy niedobre. Wśród tego zaś płaczu mówiła:

— Każę cię zabić, zły, obrzydliwy ptaku! Każę wyjąć twoje serce i rzucić psom.

Wtedy łabędź odezwał się po raz pierwszy:

— Płacz, płacz, zła królewno!

I podniósł się tak wysoko, że zdawało się, niebo już blisko. Obejrzała się poza siebie królewna ze strachem śmiertelnym i ujrzała z niezmiernej wysokości, jak teraz dopiero wybiegł z zamku król, jej ojciec, i królowa, jej matka, i jak łamali ręce z rozpaczy. Wybiegli wszyscy dworzanie, paziowie i słudzy. A nikt już jej wyratować nie mógł. Wkrótce obiegła wieść po całym królestwie, że czarny łabędź porwał królewnę. Lecz, o Boże, nikt jej nie żałował.

A łabędź leciał coraz wyżej i wyżej. Wielki strach ogarnął królewnę. Myślała, że łabędź polecą pod samo niebo i stamtąd ją rzuci. Albo że ją porzuci wśród gwiazd, albo utopi w chmurach.

— O, ta nieszczęśliwa! — zawołała.

A czarny łabędź odrzekł po raz drugi:

— Płacz, płacz, królewno!

Wtedy zapytała:

— Dokąd mnie niesiesz?

Łabędź nic nie odrzekł. Zwrócił tylko lot swój w tę stronę, w której wyrastała z ziemi straszliwa góra lodowa. Leciał tak na niezmiernej wysokości dwie godziny, aż nagle błysnęła przed nimi srebrnym swoim szczytem owa góra, sięgająca do nieba. Łabędź podniósł się jeszcze wyżej i okrążył trzy razy ten lodowy szczyt. Królewna znów buchnęła płaczem z wielkiego gniewu, widząc, że on do owej zmierza góry straszliwej.

Wtedy on rzekł po raz trzeci:

— Płacz, płacz, królewno!

Potem uderzył kilka razy skrzydłami i przystanął na lodowym szczycie. Skrzydłami zdjął ją ze swego grzbietu i posadził na lodzie. Królewna była sina od zimna, bo miała na sobie tylko śliczną sukienkę z pajęczyny. Tkało ją sto robotnic biednych przez siedem lat i wiele z nich oślepiło od pracy.

Łabędź spojrział na nią i rzekł głosem zimnym:

— Królewno! Królewno Marysiu! Za to, żeś dla nikogo nie była dobrą, żeś nikogo nie kochała, żeś dla nikogo nie miała serca, żeś wszystkich dręczyła, żeś zabiła słowika, że przez ciebie umarł biedny łabędź, brat mój — za to będziesz mieszkała na tej górze.

— Ratunku! — krzyknęła królewna, lecz nawet wiatr jej nie słyszał, bo tak wysoko nie dolatał.

— Nikt cię tu nie usłyszy, chyba lodowata śmierć! — rzekł łabędź. — Posłuchaj więc, co ci powiem. Będziesz na tej górze tak długo, aż jej nie stopisz. Tej góry nie może stopić słońce, a ty to musisz uczynić. Inaczej będziesz tu mieszkała wiecznie.

— O, ja nieszczęśliwa! Jakżeż ja to zrobię? Jak ja stopię niezmierną górę?

— Musisz — rzekł dziwnym głosem łabędź — przykładac do tego lodu ręce, a może stopnieje. Musisz mieć wzrok tak dobry, aby od twego spojrzenia stopniał. Musisz płakać tak gorącymi łzami, aby topiły te lody. Musisz tulić się do lodu, aby tajał od serca twojego. A kiedy staje ta góra, wtedy znów się znajdziesz na ziemi!

— Na to trzeba tysiąc lat! — zawołała Marysia.

— O, nie — rzekł czarny łabędź — bo wiedz, królewno, że nie ma na świecie takiej zapory, której by nie zwyciężyło dobre i szlachetne serce. Nie ma takiej góry lodowej, której by nie stopiły łzy serdeczne. A teraz żegnaj, królewno!

— Nie zostawiaj mnie samej, na Boga! umrę tu ze strachu! Łabędziu, dobry łabędziu!

— Nazywasz mnie dobrym łabędziem, a niedawno pragnęłaś mojej śmierci.

— Już jej nie pragnę! Już będę dobrą! będę kochała i ciebie, i wszystkich, tylko weź mnie z sobą!

— O, nie — rzekł łabędź — sam żal nie wystarczy! Musisz się poprawić! Musisz wzbudzić w sobie serce, nie na jeden dzień, lecz na całe życie. Wtedy, kiedy się dobrą staniesz, wtedy cię wypuszczę ze strasznej niewoli.

Skinął jej głowę, rozwinął wspaniałe skrzydła i poleciał.

— Łabędziu, łabędziu! o, drogi łabędziu! — wołała za nim królowna.

A on, nie odwróciwszy się, znikł poza chmurami. Królowna pozostała sama. Ogarnęła ją noc i strach. W lodowej górze coś jęczało straszliwie i coś niezmiernie dzwoniło. Zimno ogromne zaczęło ją kasać. Poczula się taka nieszczęśliwa i taka biedna, jak nikt na świecie. Chciała się ogrzać i nie mogła; ręce miała sine i czuła, że jej z wielkiego zimna odpadną. Wtedy, sama nie wiedząc czemu, poczęła płakać, a łzy płynęły z jej oczu tak rzęsiste jak deszcz. Padła jej jedna łza na rączkę i zapiekła ją dziwnie.

— Te łzy są gorące! — zawołała królowna. I płakała coraz więcej, aż ciepłem tych łez gorących ogrzała sobie ręce. Czuła, że to jakieś inne łzy, jakieś lepsze i jakieś miłsze.

Nie mogła zasnąć, więc zaczęła myśleć o tym wszystkim, co ją spotkało. Wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślała o ojcu i matce i przypomniała sobie, jak z rozpaczki wielkiej łamali ręce, kiedy ją łabędź unosił.

— Chciałabym im za to podziękować! — szepnęła i nagle poczuła jakąś niezmierną ochotę, aby ucałować serdecznie ręce ojca i matki. Potem przypomniała sobie, jak cudnie dla niej śpiewał słowik, jak bardzo kochał ją biały łabędź.

— Szkoda, że im uczyniła krzywdę!

W tej chwili usłyszała wśród niezmiernej ciszy cichutkie stukanie. W pierwszej chwili się przestraszyła i szepnęła w trwodze:

— Boże! Tu ktoś jest i stuka. Jakaś żywa istota!

Nasłuchiwała pilnie i odkryła ze zdumieniem, że ten cichutki stuk odzywa się w jej piersi. Przytknęła w to miejsce rączkę i czuje najwyraźniej, że coś stuka i puka w lewej stronie piersi. Ucieszyła się niezmiernie i zawołała:

— Ach, już nie jestem samotna na tej strasznej górze! Serce ożyło moje i jest ze mną.

A od tego serduszka, co cichutko biło, poczęło iść na całe ciało przedziwnie miłe ciepło. Królownie uczyniło się mniej strasznie i jakaś błoga wstąpiła w nią otucha.

Noc minęła szybko. Kiedy pierwszy promień słońca ześliznął się po lodowej górze, spojrzała królewna dokoła. Nic, tylko lód i chmury. Wtedy, sama nie wiedząc, czemu to czyni, uklękła i pierwszy raz w życiu wyrzekła te słowa:

— Ratuj mnie, dobry Boże! Ojczy i matko, ratujcie mnie!

W tej chwili zdawało jej się, że się niebo nad nią oberwało i że ona leci w przepaść. Krzyknęła z trwogi i zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, ujrzała ze zdumieniem, że góra stała się niższa. Spod jej stóp spływała kaskada wody z roztopionego szczytu góry. Wtedy ogarnęła ją jakaś wielka, serdeczna radość. Po raz pierwszy w życiu uśmiechnęła się. I znów, o dziwo! — gdzie na lód padło jej roześmiane spojrzenie, tam on topniał.

Ogarnęło ją rozczulenie. Czuła, że serce jej czyni się lepsze, że w tym wielkim nieszczęściu, jakie ją spotkało, poznała wiele rzeczy nieznanych. I w tej chwili pragnęła jednego tylko: żeby nie być samą. Modliła się, żeby się ktoś zjawił, żeby mogła powiedzieć o tym, że radość ma w sercu. Zdawało się jej, że w tej chwili powiedziałyby jakieś serdeczne słowo najbrzydszemu człowiekowi na świecie. Nie wiedziała, że to się w niej zbudziła tęsknota. Królewna Marysia zaczęła tęsknić za matką i ojcem, za ludźmi... za wszystkim. A serce jej tak topniało w ciepłe tęsknoty, jak ta lodowa góra pod jej spojrzeniem. Zapragnęła więc być jak najprędzej znów wśród ludzi i powiedzieć im: — Już nie jestem zła, już wiem, co to jest łza serdeczna! Już nikomu krzywdy nie uczynię!

Poznała jednak, że to strasznie trudno. Stopniał tylko szczyt góry, a góra sięgała aż do nieba. Wiele, wiele lat trzeba będzie, by się znów dostać na ziemię. Więc ją ogarnął taki serdeczny żal, że była złą i że kochała tylko siebie, że przytuliła się w wielkim płaczu do bryły lodu i mówiła, łkając:

— O, góro lodowa! Jaka ja jestem biedna, jak bardzo biedna! Tak bym chciała już być dobrą, tak bym chciała wszystkich ludzi do serca przycisnąć! Ale nie mogę! ale nie mogę! Więc pozwól, że przynajmniej ciebie uściskam i sercem ogrzeję, zimna góro lodowa!

Objęła lód rączkami, a lód jej z rąk ucieka. Uklękła więc i ucałowała górę, a góra nagle się zmniejszyła.

— Boże! Boże! — zawołała królewna — czemu ja nie wiedziałam przedtem, że serce takie umie czynić cudy, że nawet straszny lód stopi..

I pomyślała sobie, że choć jej zimno, choć wiatr straszliwy siecze ją po twarzycze i rwie na niej drogocenną sukienkę z pajęczyny, to jednak jest jej dobrze. Czuła w piersi wielkie, miłe ciepło.

Więc zaczęła dumać, jak się to stało? I nagle przyszło jej na myśl, że to czarny łabędź to sprawił. Co to za śliczny ptak! A jaki mądry! On wiedział, że kto jest dobrym, dla tego nie ma

nic trudnego na świecie. On to wiedział i on ją postanowił nawrócić i serce w niej zbudzić. I zupełnie nie czuła żalu do niego za to, że ją tu wyniósł. Potem szepnęła cichutko:

— Dziękuję ci, czarny łabędziu, za moje serce.

I przymknęła oczy. Nie wiedziała, jak się to stało, lecz zaczęła tęsknić za łabędziem i myślała sobie:

“O, drogi ptaku! Przyleć i zobacz, że królewna Marysia jest już dobra i miła. Że już ma serce i że już nauczyła się śmiać i płakać”.

Nagle krzyknęła, bo jej się zdało, że słyszy szum łabędzich skrzydeł. Otwiera oczy i widzi, że to chmura czarna przybrała kształt łabędzia i płynie niedaleko. Szum zaś wielki pochodził od wód, które spływały z góry. Jakże ona szybko topnieje, aż dziw! aż dziw!

Z wielkiej radości poczęła śpiewać królewna. Sama się dziwiła z początku, że to umie i że śpiewa coraz piękniej. Rozśpiewała się wreszcie z całego serca, a co zaśpiewa jedną zwrotkę piosenki, to usłyszysz, jak się bryły lodowe odrywają od góry i lecą w przepaść.

— Boże, Boże! jakam ja szczęśliwa! — szepnęła. Pomodliła się potem gorąco i zasnęła. Cudne jej się śniły rzeczy. Widziała też we śnie czarnego łabędzia, jak patrzył na nią i z wielkiej radości trzepotał skrzydłami.

Zupełnie już nie czuła mrozu. Czuła tylko, że serce w niej jakby wciąż rośnie i coraz głośniej bije i puka, i stuka. Zbudziła się rano i krzyknęła z podziwu. Jest już tak nisko nad ziemią, że widzi z daleka zielone drzewa i domy. Pod nią jeszcze wielki ogrom lodu, który został z olbrzymiej góry. Pływa on po jeziorze, które powstało ze stopionego lodu. A ponad tym złote słońce świeci cudownie. Więc uklękła Marysia, rączki wyciąga do słońca i woła:

— Słońce drogie, słońce najukochańsze, pomóż mi stopić górę! A jeśliś, słoneczko złote, widziało gdzie czarnego łabędzia, powiedz mu, że za nim tęsknię bardzo, bardzo!

Zaczęło słońce topić górę, a Marysia, widząc to, śmiała się serdecznie, i ona słońcu, a ono jej pomagało. Minął tak jeden dzień i drugi, a serce w Marysi rosło i szczęście jej było coraz większe. Płakała ze szczęścia. Nie wiedziała, czego płacze, lecz łzy jej same cisnęły się do oczu. I znów zasnęła wśród cichego płaczu. A kiedy zbudziła się rano, ujrzała z trwogą, że po niezmiernym jeziorze płynie na niewielkiej tafli lodu. Tyle go tylko pozostało z ogromnej góry. Pomyślała sobie, że za chwilę musi utonąć, bo lód szybko stopnieje. Już nie mogła nakazać sercu, aby było złe. Było już ono pełne słodyczy. Więc uklękła na krze lodowej, spojrzała w niebo i szepnęła:

— O, Boże! jak mi żal umierać, jak bardzo żal! Teraz, kiedy serce mam dobre i kiedy kocham cię, Boże, z całego serca i z całej duszy. Przebacz mi, Boże, że kiedyś tyle czyniła złego! O przebacz, przebacz biednej dziewczynce!

Potem spojrzała na niezmiernie wody i rzekła:

— Żegnajcie, matko i ojcie, panie królu miłościwy! Żegnaj i ty, czarny łabędziu, którego z całej duszy pokochałam, boś mi dał serce i nauczyłeś mnie kochać. O, jak mi smutno bez was, jak smutno. Łabędziu, łabędziu!

W tej chwili ostatni kawał lodu zapadł w wodę, a śliczna królowna Marysia poczęła tonąć. Przymknęła oczy i nie śmie ich otworzyć, czuje tylko, że serce jej bije mocno jak nigdy. I czuje, że płynie. Otwiera oczy i krzyk wielkiego szczęścia wydobył się z jej ust: oto siedzi na grzbiecie czarnego łabędzia, który szybuje jak śliczna łódź po fali.

Królowna nic mówić nie może, tylko szepce:

— Łabędziu, drogi łabędziu!

A on czasem tylko odwróci śliczną głowę i patrzy jej w oczy.

I wtedy powiedział po raz pierwszy:

— Witaj, królowno Marysiu!

Ona klasnęła w rączki i objęła go za szyję, i całowała jego lśniące piórka.

Wtedy on rzekł po raz drugi:

— Bądź szczęśliwa, królowno!

A ona już była szczęśliwą. Podziękowała niebu spojrzeniem, a rączką uspokajała serce bijące. Patrzy potem zdumiona przed siebie, a oto łabędź podpływa do zamku jej ojca. Na brzeg wybiegł dostoyny jej ojciec i król, i matka królowa, i dworzanie, i słudzy, i paziowie. Zleciały się ptaki z całego kraju, zbiegły się wszystkie stworzenia.

A wtedy łabędź szepnął po raz trzeci:

— Kocham cię, królowno Marysiu!

Wysadził ją na brzeg, gdzie ją chwycili w objęcia rodzice. Wszyscy płakali ze szczęścia i wydziwić się nie mogli wszystkimu. Opowiada Marysia szybko swoje dzieje, więc król i królowa chcą dziękować czarnemu łabędziowi. Spojrzeli wszyscy i oniemieli z podziwu. Oto łabędź wychodzi na brzeg i stał się cud. Zniknął ptak, a przed nimi stanął młodzieniec śliczny, lat dwanaście mający, taki piękny, jak sen. Krzyknęła Marysia najgłośniej i przytuliła się do matki, szczęśliwa.

A młodzian rzekł:

— Jestem księżę cudzoziemski, z mazowieckiej pochodzę ziemi. Jam jest księżę na wielu włościach. Lecz najwspanialszym bogactwem jest moje serce! Panie królu i pani królowo! Kocham królownę, córkę waszą, z całej duszy, bo wiem, że nie ma teraz lepszej na świecie panienki.

I opowiedział jeszcze raz, co uczynił, i jak Marysia przez trzysta lat topiła łązami i sercem straszliwą górę lodową. Ona myślała, że to trzy dni trwało, albowiem w rosnącym szczęściu zapomniała o czasie. Spłakali się wszyscy bardzo, szczególnie zaś na weselu, które trwało siedem lat, tyle było do jedzenia i do picia. I nie było od tego czasu bardziej kochanych ludzi niż to młode królestwo. Mieszkali oni nad Jeziorem Łabędzim, nazwanym tak na pamiątkę tego cudownego zdarzenia.

Byłem ja na tym cudownym weselu i jadłem pieczone gołąbki. Służył mi przy uczcie bardzo kochany chłopiec, Janek, Murzyn z czekolady. Od królowej—matki dostałem na pamiątkę piękną pończochę z lewej nogi, od królowny Marysi dobre i serdeczne słowo, a od młodego królewicza, który był łabędziem, pióro z jego dawnego skrzydła. Tym to piórem napisałem to wszystko i noszę je zawsze za uchem.

SZEWEC KOPYTKO I KACZOR KWAK

Posłuchajcie, moi drodzy, co się raz wydarzyło i co widziałem na własne oczy.

W wielkim mieście, tak wielkim, że w nim była nawet panorama, a raz nawet przyjechała menażeria, żył mały szewc Kopytko, taki śmieszny, że patrzeć nie było można na niego, zęby się nie śmiać. Ponieważ ciągle stroił figle, zamiast dobrze szyć buty, więc go jego majster, Szymon Dratwa, ciągnął wciąż za uszy, które wreszcie stały się takie wielkie, jak uszy słonia. Ale mały Kopytko myślał sobie, że porządny szewc powinien mieć takie uszy, jakie ma wielki but, przeto się tym nie martwił i nawet był bardzo zadowolony, gdyż w wielkich swoich uszach mógł zrobić cały magazyn, i, co inni chłopcy chowają do kieszeni, Kopytko wszystko to chował do ucha. W prawym uchu miał scyzoryk, guziki, kasztany i szpulkę od nici, a w lewym dratwę, trochę smoły, katapultę i dwadzieścia kamieni. Widać więc od razu, że to był niedobry chłopak, gdyż nikt inny nie strzela z katapulty. Raz nawet szewczyk Kopytko strzelił tak wysoko, że trafił kamieniem w twarz księżycy, który właśnie wschodził, i wybił mu dwa przednie zęby. Biedny księżyc schował się zaraz za chmury, a na drugi dzień ukazał się na niebie cały czerwony, z podwiązaną twarzą, i już nie taki uśmiechnięty jak zawsze.

Rozmaite czynił psoty szewczyk Kopytko. Innym razem miał zrobić buty takiemu panu, który się zawsze śpieszył. I wiecie, co mu urządził? Zrobił tak buty, że tam, gdzie miały być nosy buta, tam przybił obcasy. Wdział ten pan prędko nowe buty i chce iść, bo jest bardzo głodny, ale co chce zrobić krok naprzód, cofa się o krok w tył. On idzie naprzód, a buty w tył. Nie mógł się tak ruszyć z miejsca dwa tygodnie i umarł z głodu.

Szewczyk Kopytko śmiał się z tego tak bardzo, że mu się uszy trzęsły.

Nie był to ostatni figiel szewca Kopytko.

Innym razem, kiedy w kasynie było amatorskie przedstawienie dla grzecznych dzieci, przyszedł Kopytko, stanął sobie naprzeciw sceny i zaczął gryźć strasznie kwaśne jabłka i tak się zaczął wykrzywiać, jakby go wszystkie zęby bolały; kiedy to zobaczyli ci, co mówili na scenie wierszyki, zaczęli się tak samo wykrzywiać, bo tak jest zawsze: jeżeli widzisz, że ktoś je cytrynę albo kwaśne jabłko, zaraz ci się zdaje, że to ty jesz, i robi ci się w ustach strasznie cierpko.

Był to bardzo brzydki figiel, który się wszystkim bardzo nie podobał; ani ten, ani inny.

Kopytko był to zły chłopiec, choć szewc; za karę też dostawał na obiad zamiast leguminy kawałek smoły, a zamiast lodów musiał jeść czernidło do butów, bo więcej nie był wart. Za mała jednak to była kara za to, co zrobił jednemu dobremu panu; ten pan przyszedł,

aby mu wzięto miarę na buciki, a ponieważ ten pan miał bardzo dużą nogę, więc majster Szymon Dratwa i dwunastu jego pomocników zajęci byli braniem miary z nogi, którą właśnie mierzyli takim długim drutem, jakim się mierzy ulice. Kopytko, widząc, że nikt na niego nie patrzy, wsadził temu dobremu panu do kieszeni raka.

Wkłada ten pan rękę do kieszeni i jak nie krzyknie — strach! Rak tymczasem zjadł w kieszeni chustkę do nosa, rękawiczki i gazetę, którą dobry pan miał w kieszeni, teraz złapał go za palec i świsnął tak przeraźliwie, że majster Szymon Dratwa począł uciekać i biegł przez dwa lata. Kiedy ochłonął i obejrzał się, pokazało się, że zabiegł w przestraszu aż do Ameryki, i ani zobaczył, kiedy przepłynął przez morze.

Kopytko został teraz bez pana i musiał sobie pójść precz. Fikle mu były ciągle w głowie, więc się o nic nie troszczył, zabrał z sobą szydło, dratwę, trochę smoły i poszedł w świat.

Idzie, idzie i wszędzie zrobi coś złego.

Tam, gdzie się drogi rozchodzą, stoi zawsze słup, do którego ludzie przybijają drewnianą rękę, aby wskazywała drogę; zobaczył taką rękę Kopytko, oderwał ją i tak przybił z powrotem, że pokazywała na niebo. Przyszedł biedny człowiek, który zablądził, aż tu patrzy: stoi słup z drewnianą ręką. Zdziwiło go to bardzo, że nie wskazywała ani na prawo, ani na lewo, tylko do góry, ale myślał, że tak jest pewnie dobrze i że należy iść w stronę nieba. Wdrapał się więc na słup i począł iść do góry, i tak idzie biedaczysko aż do tego czasu, bo niebo jest bez końca.

A Kopytko ciągle wędrował. Raz koło jednej wsi spotkał wielkiego kaczora, który się zataczał, idąc przez pole.

— Jak się nazywasz? — rzekł szewc.

— Wojciech Kwak! — rzekł kaczor.

— A czemu się zataczasz?

— Bo jestem pijany! — rzekł kaczor i zaczął tańczyć.

Szewczyk pomyślał sobie, że ten kaczor to jest taki sam nicpoń jak i on, więc mu powiedział:

— Chodź ze mną, będzie nam weselej!

— A dokąd ty idziesz? — spytał kaczor.

— Ja — rzekł szewczyk — idę tam, gdzie żyje jeden szewc, co ma buty.

— W takim razie to bardzo daleko! — rzekł kaczor — ale pójdę z tobą, bo masz takie uszy, jakich jeszcze nie widziałem.

Szli odtąd razem i bardzo im było wesoło; pokazało się, że kaczor był to może większy jeszcze łobuz, niż szewczyk, i obaj stroili takie figle, że ludzie przed nimi uciekali.

Idą tak sobie, idą, aż tu patrzą, śpi w lesie człowiek, bardzo stary i pewnie okropnie miły i dobry, bo się przez sen uśmiecha. Spostrzegli go zaraz i od razu już myślą, jakiego by mu spłatać figla.

— Kwaknę mu nad uchem! — rzekł cicho kaczor.

— Nie można, bo się zaraz dowie, jak się nazywasz — rzekł szewczyk.

— Więc co zrobimy?

— Najlepiej będzie — mówił szewczyk jeśli mu zrobię tak, — żeby się złościł.

Podszedł po cichutku do staruszka i ściągnął mu buty z nóg, potem te buty uwiązał do długiego sznurka, sznurek przerzucił przez wysoko rosnącą gałąź, a wreszcie ukrył się z kaczorem za pnem drzewa. Czekają tak cicho, aż tu staruszek się budzi; musiał być bardzo biedny, bo się ogromnie zasmucił, ujrzawszy, że mu ktoś ukradł buty.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy nagle ujrzał buty, wiszące w powietrzu; twarz mu się rozjaśniła i podniósł rękę, aby wziąć buty. W tej chwili one, jak zaczarowane, uciekły szybko w górę.

Staruszek zdziwił się jeszcze bardziej i znowu je chciał schwytać, bo się nagle zniżyły, w tej chwili jednakże z powrotem podleciały w górę. Zmęczył się staruszek, wreszcie usiadł na ziemi i począł gorzko płakać, gdyż nie wiedział, że to Kopytko na sznurku przez psotę podciągał buty w górę.

Łzy biegły po twarzy staruszka. Szewc Kopytko rzekł wtedy cicho do kaczora:

— Panie Kwak! co się jemu stało z oczyma?

— Nie wiem — odpowiedział kaczor — ale to widzę, że są zupełnie mokre.

— To dziwne! — szepnął szewczyk — pierwszy raz to widzę. Trzeba się temu przypatrzeć z bliska.

Taka go zdjęła ciekawość, że zapomniał o butach, wyszedł spoza drzewa i zbliżył się do staruszka.

Ten, ujrzawszy go, wykrzyknął:

— Nieszczęście, nieszczęście!

— Co ci się stało, staruszku? — zapytał szewc.

Staruszek odrzekł:

— Buty moje uciekły, a drugich nigdy już mieć nie będę.

Wtedy rzekł szewczyk:

— Przyniosę ci twoje buty, jeśli mi powiesz, co to jest, co biegnie z twoich oczu?

— To? — rzekł staruszek — to łzy!

— Cóż to jest?

Staruszek się zdziwił i zapytał:

— To ty nigdy nie płakałeś?

— Nie wiem, jak to się robi! odpowiedział szewczyk.

— A śmiać się umiesz?

— O, i jak jeszcze!

Pobiegł i wrócił za chwilę z butami; za nim, kołysząc się, biegł zadyszany kaczor, Wojciech Kwak. Wołał szewczyk już z daleka:

— Masz tu swoje buty, staruszkule!

Staruszek się zdumiał, spojrział na niego uważnie i pyta:

— To ty mi je zabrałeś?

— Ja! — rzekł szewczyk.

— A dlaczego? Czy chciałeś je wziąć?

— Nie!

— Więc powiedz mi, dlaczego?

— Aby ci zrobić przykrość, przez psotę — rzekł Kopytko.

— A czy ty wiesz — rzekł staruszek — że ja płakałem dlatego?

— Nie! — rzekł szewczyk — a czy łzy bolą?

— Bardzo bolą i bardzo pieką, dlatego nigdy nikogo nie należy przyprawiać o łzy. Zbliź się do mnie!

— Oho! — krzyknął szewczyk — pewnie mnie chcesz nabić za to, że ci wypłatał figla.

Staruszek posmutniał i powiada:

— Chcę cię uścisnąć i prosić, abyś nigdy nie robił psot, więc zbliź się do mnie.

Szewczyk zbliżył się nieśmiało, a wtedy staruszek pogłaskał go po głowie i ucałował.

— Co to jest? — rzekł cichutko szewczyk i otarł ręką oczy.

— To nic — rzekł staruszek — to łzy, więc i ty poznałeś, co to znaczy płakać.

— Ale — rzekł szewczyk — to być nie może, bo przecież mówiłeś, że łzy pieką i bolą, a to jest bardzo przyjemne.

— Bo są i takie, jeśli człowiek jest szczęśliwy. Niech ci Pan Bóg da takich łez jak najwięcej. Więc nie rób już nigdy takich psot, które ludzi przyprawiają o gniew albo o ból. Czy zawsze robiłeś psoty?

— Zawsze — rzekł szewczyk — bo ja jestem szewc i muszę być wesoły; tylko stolarze są smutni, bo robią trumny.

— Więc jeśli już jesteś taki wesoły — rzekł staruszek, wciąż gładząc mu rozwichrzoną głowę — to cię nauczę jeszcze jednej rzeczy. Słuchaj, moje dziecko: bardzo to jest dobrze, jeśli się znajdzie na świecie wesoły człowiek, bo może zrobić dużo dobrego.

— To dziwne! — rzekł szewczyk — bo dotąd zawsze mnie bili, kiedy dokazywałem.

— Boś to źle robił, szewczyku — rzekł staruszek. — Byłeś wesoły cudzym kosztem i dlatego, gdy ty byłeś wesoły, to wszyscy byli smutni. Bądź odtąd wesoły, ale tak miło, żeby nikt od ciebie nie uciekał, lecz żeby wszyscy przychodzili do ciebie z radością. Czyń tak, abyś wesołością pocieszał smutnych.

— A czy ja to potrafię? — spytał szewczyk.

— Potrafisz! potrafisz! Rób, jak umiesz, a zobaczysz, jak ci będzie dobrze. Niech cię Pan Bóg. prowadzi!

I zniknął.

— Kwak! kwak! — krzyknął głośno Kaczor. — Ten staruszek mi się podoba. Zupełnie się nie gniewał! To ciekawe.

I poszli dalej.

Szewczyk gwizdał sobie wesoło i tańczył. Kaczor Kwak był także w doskonałym humorze i wyśpiewywał tak śmieszne piosenki, że wiewiórka, która go słyszała, złapała się za brzusek ze śmiechu. Szewczykowi było tak lekko na duszy, jak jeszcze nigdy.

Idą tak, idą, aż tu widzą w lesie dwoje dzieci, które się zabłakały. Siadły pod drzewem i tak płaczą, że się serce kraje.

— Zróbmy im figła! — zawołał kaczor.

Wtedy szewczyk rzekł:

— Jesteś taki głupi jak kura. Zrób natychmiast to, co ci każę! Zbliź się do dzieci i zatańcz na jednej nodze, ja tymczasem stanę na głowie i będę fikał nogami.

Jak nie zacznie kaczor tańczyć, o jej! A szewczyk jak nie fiknie nogami, tak że mu pantofel zleciał z nogi i zawiesił się na szczycie najwyższej sosny.

Dzieci patrzą przez łyzy i patrzą, a potem jak nie pisną z uciechy, jak się nie zaczną śmiać, o jej!

Szewczyk z kaczorem zabawiali ich tak do wieczora, a wieczór przyszli rodzice i ujrzawszy, co się stało, ucałowali serdecznie szewczyka i uściskali kaczora, który był z tego niezmiernie dumny.

Idą dalej, idą, nic do siebie nie mówią, tylko czują, że im jest bardzo dobrze; patrzą, aż tu żebrak siedzi pod krzyżem i stęka.

— Co ci jest? — pyta szewczyk.

— Głodny jestem — mówi żebrak — i nieszczęśliwy. Dajcie, co łaska.

Zadumał się szewczyk i począł szukać najpierw po kieszeniach, potem w uchu, najpierw w prawym, potem w lewym, i nic nie znalazł, prócz smoły. Więc myśli długo, potem powiada:

— Czy bardzo jesteś smutny?

— O, bardzo! — jęknął żebrak.

— Nic ci dać nie możemy, ale chcemy cię pocieszyć. Panie Kwak! — krzyknął do kaczora — niech pan zatańczy krakowiaka!

Kaczor się jedną łapą pod bok ujął i zatoczył koło w tak uciesznych podskokach, że umarli by się roześmiali.

— O jej! — krzyknął żebrak, śmiejąc się.

Ale to nic jeszcze, bo nagle kaczor przystanął i zaśpiewał fałszywym głosem:

Wielkie ma zmartwienie

Pani Kaczorowa,

Bo pan Kwak się upił

I boli go głowa! Oj—da—na!

— O jej! — śmiał się żebrak tak głośno, że aż wszystkie wrony zerwały się z pobliskiego drzewa.

Potem powiedział:

— Niech wam Bóg zapłaci! już nie jestem głodny.

Poszli sobie, a kaczor rzekł po drodze do szewczyka:

— To dziwne, ale mi się zdaje, że żebrak najadł się śmiechem. Czy śmiech można jeść?

— Musi być nawet bardzo zdrowy! — rzekł Kopytko.

Szli tak we dwójkę przez całe tygodnie i miesiące; a gdy się tylko dowiedzieli, że ktoś w jakimś mieście lub jakiejś wsi jest zmartwiony, szli tam czym prędzej i rozweselali ludzi. Niezadługo sławni się stali w całym kraju i wszędzie ich błogosławiono. Kaczor Kwak przestał pić i całe dnie przemyślał nad tym, co by wesołego wymyślić, aby rozradować smutnych ludzi.

I obaj byli szczęśliwi. Ale to jeszcze nic. Siedzą oni sobie w lesie i wyśpiewują, aż tu nagle ktoś jedzie na koniu. Był to goniec króla Powidło, który był tak bogaty, że mógł jeść obiad dwanaście razy dziennie i w nocy budził się trzydzieści sześć razy, aby pójść spać na inne

łóżko, kiedy mu się jedno znudziło; powiadają nawet, że sobie mógł na to pozwolić, że pił piwo zamiast wody, a butów nigdy nie dawał naprawiać, gdyż miał aż trzy pary.

Goniec króla Powidło, ujrawszy szewczyka i kaczora, spadł z konia z szacunku, a kiedy się podniósł, zbliżył się do nich i bardzo nisko uklonił.

— On się mnie tak kłania! — szepnął kaczor.

— Głupiś pan, panie Kwak! — rzekł szewczyk.

A goniec rzekł:

Jestem ministrem króla Powidło, najmądrzejszym na jego dworze. Powiedzcie mi, który z panów jest szewc Kopytko, a który kaczor Kwak?

Kaczor aż się złapał za boki ze śmiechu, pomyślawszy sobie, że najmądrzejszy minister nie umie odróżnić szewca od kaczora.

— Jestem Kopytko — rzekł szewc.

— A ja jestem pan Kwak — rzekł kaczor, który zawsze o sobie mówił “pan”.

— W takim razie mam wam powiedzieć, abyście natychmiast przybyli do pałacu króla Powidło, który jest bardzo chory i smutny.

— Oho! — zawołał kaczor.

— Idziemy! — rzekł Kopytko. — Powiedz nam, którądy się idzie?

Na to goniec odpowiedział:

— Pójdziecie do wielkiego dębu, a tam się obróćcie tysiąc razy w prawą stronę, a potem pójdziecie dziesięć kroków od dębu na lewo, gdyż tam jest pałac.

— Kwa! kwa! — zdumiał się kaczor — to po co się mamy obracać tysiąc razy na prawo?

— Bo taka jest etykieta — rzekł minister — aby trudniej było trafić. Ale śpieszcie się z obracaniem, gdyż król Powidło może umrzeć

Poszli więc czym prędzej, obrócili się tysiąc razy i trafili od razu do pałacu.

Król Powidło stękał bardzo i jęczał, a królowna Marysia płakała tak strasznie, że się koło pałacu uczyniła sadzawka, i od tak dawnego czasu, że się w tej sadzawce zjawiały złote żaby.

Kopytko skłonił się królowi i zapytał:

— Czy dawno jesteś chory, panie królu?

— Od stu siedmiu lat! — stęknął król. — Wtedy jadłem ostatni obiad. Wtedy także zgubiłem moją koronę.

— Kwa! — krzyknął kaczor.

— Co on mówi? — przeraziła się królowna — czy on kasa?

— Nie, królowo — odpowiedział szewczyk — on się cieszy, że król będzie zdrow.

Kopytko szepnął coś kaczorowi, potem obaj poczęli przed królem wyprawiać takie figle, a kaczor począł wywracać takie koziołki, że król musiał się roześmiać, a królowa czym prędzej wykręciła z chustki wilgoć łez i powiesiła chustkę na słońcu, aby wyschła.

O jej! Co się działo! Kaczor wyśpiewywał takie krakowiaki, że się wszyscy brali za boki ze śmiechu.

Aż tu nagle nieszczęście! Szewczyk począł robić ogromnie śmieszne grymasy, a król Powidło tak się począł śmiać, że aż pękł ze śmiechu. Przestraszyli się wszyscy, patrzą, aż tu królowi z brzucha wypadła jego złota korona. Kiedy przed stu siedmiu laty jadł obiad, spadła mu z głowy do talerza, a on, że był łakomy, zjadł koronę z rosołem i dlatego był chory.

Kopytko nie stracił głowy, chwycił szydło, smołę i dratwę i nuż zszywać brzuch królowi. Zeszył zgrabnie, a król się jeszcze śmieje. Śmiał się tak przez pięć tygodni, a kiedy wreszcie ustał, dał szewczykowi córkę swoją za żonę, a jego zrobił księciem i dał mu herb, w którym były długie uszy i szydło. Kaczora mianował szlachcicem i dał mu order ze złotego papieru.

Żyli szczęśliwie, tylko kaczor, słynny Wojciech Kwak, żył niedługo, gdyż go jednej nocy ukradł minister królewski, kazał zarznąć i zjadł.

O TYM JAK KRAWIEC PAN NITECZKA ZOSTAŁ KRÓLEM

W miasteczku Tajdarajda mieszkał krawiec pan Józef Niteczka. Miał bródkę taką jak cap i wciąż był wesoły. Chudy był bardzo. Każdy krawiec na świecie jest chudy, bo tak już jest, gdyż krawiec przypominać musi igłę i nitkę. Ale pan Niteczka był tak chudy, że umiał przeleżę przez uszko igły, którą sam trzymał w ręce. Nie mógł jeść nic innego, tylko makaron, bo nic innego nie chciało mu przeleźć przez gardło. Dobry był to człowiek i zawsze uśmiechnięty. W brodzie miał sto trzydzieści sześć włosów i czasem w święto zaplatał ją sobie w warkoczyki. Ogromnie był wtedy przystojny.

Byłby sobie żył szczęśliwie, gdyby nie jedna Cyganka. Zraniła się ona w nogę, a rana była bardzo wielka. Niteczka ślicznie jej zacerował skórę, tak że nie było nic widać. Z wdzięczności wróżyła mu ona z ręki i powiedziała tak:

— Jeżeli wyjdiesz w niedzielę z tego miasta i będziesz szedł wciąż na zachód, znajdziesz wreszcie tam, gdzie cię ogłoszą królem!

Niteczka bardzo się z tego śmiał. Ale tej nocy śniło mu się, że w istocie został królem i z wielkiego dobrobytu tak utył, że wyglądał jak ogromna beczka. Zbudził się i myśli:

“A może to i prawda? Kto wie? Wstawaj no, panie Niteczka, i idź na zachód!”

Wziął zawiniątko, sto igieł i tysiąc kilometrów nici, wziął napastrzek, żelazko, nożyce bardzo wielkie i poszedł między ludzi pytać, jak to się idzie na zachód. Nikt tego nie wiedział w miasteczku Tajdarajda, aż jeden stary człowiek, który miał sto sześć lat, myślał i powiada:

— Zachód to pewnie jest tam, gdzie słońce zachodzi.

Zaraz było widać, że to jest mądrze powiedziane, więc pan krawiec Niteczka poszedł w tę stronę. Niedaleko uszedł, aż tu zrywa się wiatr w polu, nawet bardzo niewielki, ale ponieważ pan Niteczka był niezmiernie chudy, więc go wiatr porwał. Leciał tak pan Niteczka przez powietrze i bardzo się śmiał z takiej jazdy. Ale i wiatr się zmęczył i puścił krawczyka na ziemię. Zakręciło mu się w oczach i nie wiedział co się z nim stało. Poczł tylko, że upadł w czyjeś ramiona, bo ktoś gniewnie krzyknął:

— Co to jest za napaść?

Patrzy pan. Niteczka i widzi, że jest wśród zboża i że go wiatr rzucił w ramiona Stracha na wróble. Pan Strach był bardzo elegancki, miał trochę tylko podarte spodnie, zieloną kurtkę i połamany cylinder. Miał dwie nogi z patyków i z takich też patyków dwie ręce.

Niteczka zdjął czapeczkę, skłonił się nisko i powiada cienkim głosem:

— Moje uszanowanie szanownemu panu. Przepraszam, jeśli panu nastąpił na nogę. Jestem pan Niteczka, krawiec.

— Bardzo mi przyjemnie — rzekł Strach na wróble — poznać tak miłego człowieka. Ja jestem hrabia Strach, herbu Cztery Patyki, uważam tu, aby wróble nie kradły pszenicy, ale mało się nimi zajmuję. Jestem niezmiernie odważny i chciałbym walczyć tylko z lwami i tygrysami, ale one tego roku rzadko przychodzą jeść pszenicę. A dokąd to pan idzie, panie Niteczka?

Pan Niteczka znów się uklonił i podskoczył trzy razy, bo był bardzo uprzejmy i wiedział, że wielcy panowie tak się sobie kłaniają.

— Dokąd ja idę, panie hrabio? Idę tam, gdzie zostanę królem.

— Czy być może?

— A jakże! Ja się urodziłem na króla. A może pan, panie hrabio, pójdzie ze mną, będzie nam weselej?

— Dobrze — odrzekł Strach na wróble — już mi się tu sprzykrzyło. Ale niech pan, panie Niteczka, troszkę mi poprawi i pozaszywa ubranie, bo chciałbym się gdzieś po drodze ożenić, więc muszę być przystojny.

— Z miłą chęcią! — rzekł Niteczka.

Wziął się do pracy i za godzinę Strach na wróble miał śliczne ubranie i cylinder prawie jak nowy. Trochę się z niego wróble z całego pola poczęły naśmiewać, ale on na to nie zważał, tylko z wielką godnością poszedł z Niteczką. Rozmawiali sobie po drodze bardzo miło i bardzo się pokochali, a szli wciąż na zachód. Spali zwykle w pszenicy, a na noc przywiązywał się krawiec nitką do Stracha, który był cięższy, aby pana Niteczki znów jaki wiatr nie porwał. A kiedy ich psy opadły, wtedy Strach, który był z powodu swego rzemiosła bardzo mężny, wrywał własną nogę i ciskał nią za psami. Potem ją znowu sobie sznurkiem przywiązywał do tułowia.

Raz pod wieczór patrzą, a w lesie widać jakieś światelko.

— Chodźmy tam, może nas przenocują! — rzekł Niteczka.

— Zróbmy im ten zaszczyt! — odpowiedział pan hrabia Strach.

Patrzą, dom jakiś dziwny, bo może chodzić. Stoi na jakichś czterech łapach i wciąż się obraca.

— Właściciel tego domu musi być wesoły człowiek — szepnął Niteczka — ciągle sobie tańczy.

Poczekali, aż drzwi przyszły do nich, i weszli do domu. Bardzo to był dziwny dom. Chociaż to było lato, na kominie paliły się ogromne kłody drzewa, a na ogniu siedział jakiś

szlachcic i grzał się. Czasem nabierał w dłoń żarzących się węgli i połykał je z wielkim smakiem. Ujrawszy podróżnych, podszedł do nich, skłonił się i powiada:

— Zdaje się, że pan Niteczka i pan hrabia Strach?

Zdumieli się, że ich zna. ale nie rzekli nic, tylko Niteczka podskoczył trzy razy, a Strach zdjął cylinder. On zaś mówił:

— Zostańcie u mnie na wieczery, a jutro pójdziecie dalej. Zaraz zawołam żonę, córkę i krewnych.

Klasnął w dłonie i nagle zjawilo się wielkie towarzystwo. Córka tego gospodarza była bardzo piękna, lecz kiedy się śmiała, to tak, jakby koń rżał na łące. Bardzo się jej podobał pan Niteczka, więc powiedziała mu, że bardzo chciałaby mieć takiego męża. Siedli potem do wieczery, pan Niteczka i Strach na ławie, a wszyscy inni na żelaznych garnkach z rozżarzonymi węglami, co gości wielkim przejęło zdumieniem.

Wtedy im gospodarz rzekł:

— Nie dziwcie się, wielmożni panowie, że tak siedzimy, ale naszej rodzinie zawsze jest bardzo zimno.

Podali zupę w ogromnym kotle i już Niteczka podniósł łyżkę do ust, kiedy Strach pociągnął za połę i szepnął:

— Panie Niteczka, nie jedz, bo to gorąca smoła!

Więc potajemnie, udając, że im zupą smakuje, wylali ją pod stół. Potem przyniósł jakiś dziwny służący nowe danie: były to szczury w dzikim sosie; potem podali szarańczę smażoną, dżdżownice z parmezańskim serem, jak makaron, a na deser zgniłe jaja. Wszystko to oni rzucali pod stół i przerazili się bardzo. Nagle rzekł gospodarz:

— Czy pan wie, panie Niteczka, że król umarł w Pacanowie?

— A gdzie ten Pacanów, daleko? — spytał krawiec.

— Zarznięty kogut biegnie stąd do tego miasta dwa dni. A czy pan wie, że tam szukają króla i że ten tam zostanie królem, kto się ożeni z moją córką?

Dzieweczka zarżała w tej chwili z radości, jak stary koń, i zarzuciła Niteczce ręce na szyję.

— Uciekajmy! — szepnął Strach.

— Kiedy nie wiem, gdzie są drzwi. Nie ma rady!

Cała rodzina zaczęła być wesoła, a gospodarz rzekł nagle:

— Napijemy się wina za wasze zdrowie i zaśpiewamy sobie wesoło. Panie Niteczka, może pan zna jaką piosenkę?

— I owszem! — mówił Niteczka — bardzo nawet piękną.

Mówiąc to, mrugnął na Stracha i szepnął:

— Uważaj, bracie, i kiedy drzwi będą za nami, wtedy krzyknij!

Potem powstał, zdjął czapkę i cieniutkim głosem zaczął śpiewać jedyną pieśń, jaką umiał:

“Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą, zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą!”

Coś strasznego się stało w tej chwili. Cała rodzina porwała się na nogi i poczęła wyc i piszczeć, i skakać, i złorzeczyć. A pan Niteczka nic, tylko śpiewał dalej. Czuje, że dom z nimi gdzieś ucieka przed tą pieśnią, więc Niteczka oddechu w płuca nabrał i śpiewał jak najcieńsza piszczałka w organach. Ukończył pieśń i znowu na nowo rozpoczął. Aż w tej chwili wszystko zniknęło, dom się rozpadł w proch i tylko straszliwy wiatr się zerwał.

Patrzą oni, przerażeni, i widzą, że stoją na łące. Podziękowali Bogu za ocalenie i Niteczka powiada:

— Straszne to były diabły, aleśmy ich zmogli!

— To mnie się tak przestraszyli! — rzekł Strach.

I idą dalej. Niteczka dowiedział się od starego diabła, że król umarł w Pacanowie. Więc skierowali się do tego wspaniałego miasta, w którym są słynni kowale, co kują kozy. Wędrowali siedem dni. wśród rozmaitych przygód, wreszcie ujrzeni miasto i poznali, że to właśnie to sławne. Ale zdumieli się bardzo i aż przystanęli z podziwu: na całym świecie była pogoda, tylko nad tym miastem okropny padał deszcz i z nieba lało się jak z cebra.

— Ja tam nie pójdę — powiada Strach — bo mi cylinder zmoknie.

— A ja nie chcę być nawet królem w takiej wilgoci! — mówił krawiec.

Lecz z miasta już ich dojrzeni i tłum ludzi wybiegł do nich. Burmistrz przyjechał na podkutej kozie i wszyscy .w płacz przed nimi:

— Panowie wielmożni! Może wy nas poratujecie!

— A cóż wam się stało? — pyta Niteczka.

— Potop nam grozi i zagłada! Król nasz umarł tydzień temu i od tej chwili straszliwy deszcz pada na nasze wspaniałe miasto. Nie można nawet ogniska rozpalić w domu, bo tyle wody leci przez komin. Zginiemy, wielmożni panowie!

— To źle! — rzekł bardzo mądrze pan Niteczka.

— O, i bardzo źle! Ale najwięcej to nam żal córki nieboszczyka króla, bo się biedna w płaczu utulić nie może, wskutek czego jeszcze więcej jest wody.

— To jeszcze gorzej! — rzekł jeszcze mądrzej Niteczka.

— O, panie wielmożny! — zawołał burmistrz — ratujcie nas, ratujcie! A wiecie wy, jaką niezmierną nagrodę obiecała królowna temu, co ten deszcz zatrzyma? Obiecała, że za mąż za tego wyjdzie i królem ten zostanie.

— Oj? — woła Niteczka — naprawdę? Panie Strach, chodźmy do miasta. Trzeba spróbować.

Zawiedli ich w wielkim deszczu do córki nieboszczyka króla, ona zaś, ujrawszy Niteczkę, zawołała:

— Ach, jaki przystojny młodzieniec!

On podskoczył trzy razy bardzo wysoko i rzekł:

— Czy prawdą jest, królowno, że wyjdiesz za mąż za tego, co deszcz zatrzyma?

— Tak przysięgam.

— A gdybym ja to zrobił?

— Dotrzymam przysięgi.

— I królem zostanę? — pytał Niteczka.

— Zostaniesz, piękny młodzianie.

— Dobrze — zawołał krawiec — idę zatrzymać deszcz.

Mrugnął do hrabiego Stracha i poszli. Całe miasto, pełne nadziei, wyległo, chcąc zobaczyć ten wielki czyn.

A Niteczka szedł pod parasolem ze Strachem i tak sobie mówili:

— Słuchaj, Strachu, jak to zrobić, żeby ten deszcz przestał padać?

— Trzeba zrobić pogodę.

— Ale jak?

— Ha! Pomyślmy!

Myśleli trzy dni, a deszcz leje i leje, i leje! Nagle pan Niteczka uderzył się w czoło, beknął z radości, jak koza, i zawołał:

— Wiem, skąd ten deszcz pochodzi!

— Skąd?

— Z nieba!

— Ech! — mruknął Strach — taki mądry to i ja też jestem. Pewnie, że nie pada z dołu do góry, tylko odwrotnie.

— Tak! — rzekł Niteczka — ale dlaczego on pada tylko na miasto, a gdzie indziej nie pada!

— Bo gdzie indziej jest pogoda!

— Głupiś, panie hrabio! — rzekł krawiec — ale powiedz mi, od jakiego czasu pada ten deszcz?

— Powiadają, że od czasu, kiedy król umarł.

— A widzisz! Ja już wiem wszystko! I sprawa jest taka: król był tak wielkim i potężnym, że kiedy on umarł, to się w niebie zrobiła dziura.

— Oj! oj! prawda!

— Z tej dziury lunął deszcz i tak będzie padał do skończenia świata, jeśli się dziury nie zaszyje.

Pan Strach szeroko otworzył oczy i rzekł:

— W życiu moim nie widziałem tak mądrego krawca.

Ucieszyli się bardzo, poszli do burmistrza i kazali ogłosić, że pan Niteczka, obywatel miasta Tajdarajda, obiecuje, że deszcz przestanie padać.

— Niech żyje pan Niteczka! Niech żyje! — krzyknęło całe miasto.

Wtedy Niteczka kazał przynieść wszystkie drabiny, jakie tylko były w mieście, razem je związać i przystawić je do nieba. Sam wziął sto igieł i szpulkę nici, co miała sto mil, i położył z tym na drabinę, a hrabia Strach rozwijał nici na dole. Wylazł na samą górę i widzi, że w niebie jest wielka dziura, taka wielka jak miasto; oddarty kawał nieba zwisał w dół, a przez otwór płynęła deszczowa woda. Wziął się więc do pracy i szył, i szył przez dwa dni. Palce mu mdlały od roboty, ale nie ustawał. Żelazkiem potem wygładził niebo i bardzo zmęczony złązi z drabiny.

A w mieście pogoda śliczna! Hrabia Strach mało że nie zwariował z radości, tak jak i wszyscy mieszkańcy miasta. Królowna otarła oczy, które już były prawie do połowy wyplakane, i rzuciwszy się na szyję Niteczce, ucałowała go serdecznie.

Niteczka był szczęśliwy, aż patrzy, a tu burmistrz i rajcę niosą mu złote berło i koronę wspaniałą i wołają:

— Niech żyje król Niteczka!

— Niech żyje, niech żyje! I niech będzie mężem królowny, i niech panuje szczęśliwie!

Toteż panował długo wesoły ten król, a w państwie jego nigdy deszcz nie padał. Zaś przyjaciela swego mianował Wielkim Strażnikiem państwa, aby odpędzał wróble od królewskiej głowy.

DZIELNY JANEK I JEGO PIES

I

Jednego dnia Janek został sam na świecie. Ojciec umarł dawno, przywalony pniem drzewa, matka zaś przed niewielu dniami zamknęła na zawsze oczy, bardzo niebieskie i jak gdyby spłowiłe od łez. Wiele, wiele bowiem razy płakała, biedactwo, czując, że niedługo już jej życia na tej ziemi, na której zostanie jej dziecko jedyne, kochane i dobre, Janek. Razem dawali sobie jakoś radę, bo choć chłopiec nie bardzo odrósł od ziemi, pomagał jej, jak umiał, sadzić kartofle albo zbierać w lesie grzyby i jagody. Z tym tylko wielka była rozpacz, że oni sadzili kartofle, a dziki, których mnóstwo było w kniei, ryły pole i pożerały biedną ludzką strawę. Groził im odważny chłopiec straszliwą zemstą, kiedy we dnie widział stłamszone pólko, dziki jednak musiały chyba o tym nie wiedzieć albo niezbyt się obawiały potężnego jego głosu, przed którym nie uciekały nawet wróble. Pierwsze więc lata swojego życia zaprawiał płowowłosy Janek w biedzie i głodzie. Dokoła, jak okiem sięgnąć, był las wysoki i chmurny, ciemny i potężny, wciąż jak gdyby zagniewany, szumiący i szemrzący; walczył z burzami, bódł ciężkie, niskie chmury wierzchołkami drzew, ryczał czasem jak niedźwiedź straszliwy, kiedy go burza, jęzda wściekła i świszcząca, biła piorunami, a we dnie spał w słońcu, srodze zmęczony. Budził się od czasu do czasu, zakółsał się ciężko, westchnął, a ujrawszy, że niebo jest błękitne i kapie spiekotą, złotą, słodką i ciężką jak miód, znowu zasypiał. Janek mieszkał z matką w lepiance, darniną krytej, na małej polance, przez którą przepływał strumyk, miły gaduła, co sam ze sobą wiecznie gadał.

Z tego lasu nigdy nie wyjrzał na świat, który pewnie gdzieś tam był daleko; tak mu opowiadała matka, on sam bowiem sądził, że cały świat jest jednym wielkim, nieskończonym lasem. Nie bał się go wcale. Urodził się w lesie, kochał go i był mu wdzięczny za to, że las ich żywił.

Było tam jeszcze jedno stworzenie z nimi: pies. Zwyczajny kundel, śmieszny bardzo i uciechowy, co się zwał Robak. Skąd się tu wziął, ludzie nie wiedzieli, a jego to zupełnie nie obchodziło. Mądry był nad pojęcie, w twardej leśnej uczony szkole, w której w zimie wiało straszliwie, a w lecie też nie było wiele do jedzenia. Robak jednak, jako psi filozof, znał doskonale pełne smętku porzekadło: „Dobra psu i mucha”, więc wobec obfitości much i mądrości tego przysłowia nie bardzo narzekał. Czasem, kiedy mu było zbyt ciężko na tym świecie, wytaczał wielki i pełen wycia proces księżycowi, jak gdyby księżyc właśnie był

winien jego nędzy. Księżyc, z początku bardzo tym zdziwiony, przysiadł na srebrnej chmurze jak ptak i słuchał ciekawie, czego chce od niego zabiedzony kundel. Wreszcie mu się znudziły te narzekania i, nie zwracając uwagi na psie lamente, odbywał swoją podróż po niebie.

Był to pies tak przedziwnie mądry, że rozumiał ludzką mowę i takie sprawiał wrażenie, że gdyby chciał, to sam mówić by umiał. Matka Janka twierdziła, że umiał pewnie i czytać, lecz tego nie można było sprawdzić, gdyż na sto sześć mil dokoła nie było żadnej książki, a nikt pisać ani czytać nie umiał. Być może, że sowy, ptaki strasznie mądre, znały tę wielką sztukę, nie było można tego jednakże sprawdzić, nikt się bowiem nigdy nie dogadał z milczącą i napuszoną sową.

Robak widział, że coś złego dzieje się w leśnej lepiance.

Dnia jednego zapracowana i wygłodzona matka Janka uśmiechała się do syna z niezmierną słodyczą. Ile razy się uśmiechnęła, odwracała głowę i śmiech zamieniał się w grubą, czystą łzę. Tak to wyglądało, jak gdyby na prześliczny kwiat padła nagle brylantowa kropla rosy. Dobrze psisko patrzyło pilnie, bo mu się dziwnie nie podobał taki śmiech, co się we łzy zamienia. Przysłuchiwał się potem rozmowie matki z synem, długiej i serdecznej rozmowie. Kobięcina nauczała swoje dziecko, że nikt na świecie nie zginie, nad kim Pan Bóg czuwa, i że nikt krzywdy nie uczyni sierocie.

Tak do niego mówiła:

— Gdybym ja, Janeczku mój najdroższy, zasnęła tak mocno, że nie obudziłabym się już nigdy, nie próbuj mnie budzić. Ja już wtedy będę u Pana Boga i do nóg Mu padnę, i będę prosiła, abyś ty tylko nie zginął. Wykopiesz mi grób pod dębem i ziemią mnie ukochaną nakryjesz. Będzie mi ciepło i wygodnie, kiedy ty to zrobisz. A potem idź na szeroki świat, a ja zawsze będę przy tobie. Nie będziesz mnie widział ale ja będę z tobą wszędzie i zawsze. Czemu płaczesz, chłopczysko ty moje najukochańsze? Widzisz, dzieciątko moje, spracowana jestem bardzo i muszę odpocząć. Wiele nie przespałam nocy, więc zasnę głęboko. Zostaniesz sam, lecz nie bój się tego. Las cię kocha i krzywdy ci nie uczyni... A kiedy będziesz dobry i też nikogo nie skrzywdzisz, przygarną cię dobrzy ludzie i żyć będziesz szczęśliwie i długo. Patrz, jaka jestem spokojna i wesoła...

— A czemu płaczesz, mateńko?

— To pewnie deszcz pada i dwie kropelki na twarz moją upadły...

— A czemu taka jesteś blada, mateńko?

— To pewnie słońce tak przez liście prześwieca...

— A czemu masz takie ręce jak lód, mateńko?

— Bo cała krew do serca mi spłynęła, aby cię więcej jeszcze kochało...

— A czemu masz usta spękane, mateńko?

— Bo ci właśnie chciałam rzec słowo tak gorące, że mi aż usta spaliło... Dziecko moje jedyne... Błogosławię ci, błogosławię ci... Miej go w opiece, Matko Przenajświętsza!...

Zasnęła potem cichutko i tak mocno, że jej nie zbudził ani chłód nocy, ani wielkie śpiewanie ptaków o poranku, ani żar słońca. Ani jej nie zbudziła najpierw cichutka, potem coraz to głośniejsza prośba jej syna. Kiedy dziecko ukochane nie może obudzić swojej matki, to tylko dlatego, że już na wieki usnęła.

Pewnie ptaki dały znać dobrym jakimś ludziom o wielkim nieszczęściu, bo nazajutrz zjawili się, aby pogrzebać zmarłą. Byli to smolarze i bartnicy, gdzieś w głębi puszczy siedzący, czarni, jakby uwędzeni w dymie, srodzy na twarzach, lecz w sercach poczciwi. Pokiwali głowami nad sierotą, bardzo zafrasowani.

— Cóż ty teraz poczniesz, sieroto? — pytali.

— Mówiła matka, abym w świat poszedł — rzekł Janek.

— A nie zginiesz po drodze?

— Powiedziała matka moja, że mnie Bóg ochroni, a ona będzie ze mną.

— Tak mówiła? Tedy idź, chłopcze... Przygarnęlibyśmy ciebie, lecz nędza z biedą u nas mieszka... Idź z Bogiem... Niejeden już od nas poszedł i przepadł, ale może tobie się uda. Dobrze ci z oczu patrzy. A ile ty masz lat?

— Będzie z dziesięć.

— A czyj to ten pies?

— Teraz mój. Pójdziemy razem na wędrówkę.

Robak nie brał udziału w rozmowie, bo miał swój wielki rozum i wiedział, co wiedział. Był już gotów do drogi, bo zostawać nie było po co. Czekał cierpliwie, aż obcy, leśni ludzie odejdą, aż Janek wszystkie pożegna kąty i wszystkie dokoła lepianki rosnące drzewa. Musiał mieć w chwili rozstania wielką w sercu żalobę, bo na rzęsach wciąż nowe miał łzy. Wreszcie jednak skrzepił w sobie duszę, przeżegnał się i rzekł:

— W drogę, Robaku!

— Rozkaz! — zawołał Robak.

Pies wprawdzie nie mówił, bo zwierzęta mówią tylko w bajkach. Opowieść zaś o Janku i o Robaku zdarzyła się naprawdę, ale ponieważ pies rozumiał każde słowo swego pana, a jego biedny pan rozumiał każde spojrzenie i każdy ruch swojego psa, dlatego rozmowa wśród nich była wyraźna i dlatego można powiedzieć, że Robak „zawołał” albo „rzekł”.

— W którą stronę pójdziemy? — zapytał Janek.

Robak przekręcił łeb bardzo śmiesznie, spojrział na lewo, spojrział na prawo i rzekł roztropnie: — Tędy na lewo chodzą dziki, a to dość, aby nie chodzić tą drogą, bo się nią dojdzie do jakiegoś bagna, czego uczciwe stworzenie, takie jak pies na przykład, niezbyt lubi. Co innego, jeśli się ma w rodzie świnię.

— To może na prawo?

Robak podniósł nos, wietrzył chwilę i rzecze:

— Na prawo? Myślę, że na prawo też iść nie należy, bo tędy chodzą gromadami wilki. Boli mnie to, co muszę powiedzieć, ale wcale mnie to nie hańbi, że mam krewnych, wielkich złodziejów i zbrojów. Wilk jest moim wujem, ale niech taki wuj, co potrafi zjeść własnego siostrzeńca, chodzi sobie sam. Jeślibyśmy poszli tą drogą, nic z tego dobrego nie wyniknie, przede wszystkim zaś zginiemy z głodu, tam bowiem, którędy przeszedł wilk, nikt się już nie pożywi. Chodźmy prosto jak strzelił.

— Mądrze to wykoncypowałeś, miły Robaku — rzekł Janek. — Na tej drodze jednak możemy napotkać niedźwiedzia.

— To by nie było najgorsze — rzecze Robak. — Niedźwiedź jest bardzo gburowaty, ale poczciwy to jegomość; gdybym był rybą, tobym trochę miał stracha, albo gdybyś ty był posmarowany miodem, bo za rybą i za miodem ten kudłacz przepada.

— A co robić, jeśli go spotkamy?

— Najmądrzej będzie uciekać, a jeśli na ucieczkę będzie za późno, ja gdzieś przepadnę, bo nie wiem, czy mu się spodobam, a ty idź śmiało. Jeśli ty się nastraszysz, włącz na drzewo, a jeśli on się ciebie nastraszy, to on zwieje i wszystko będzie w porządku.

— A jeśli inne spotkamy zwierzęta?

— Iii! Gadać nie ma o czym. Zając zaby się boi, cóż dopiero, kiedy mnie zobaczy. Zaszczekam dwa razy, a to wystarczy, aby wszystkie zające strach obleciał do Bożego Narodzenia. Zobaczysz, co ja w lesie znaczę! Sarny na mój widok mdleją, a potem opowiadają dzieciom, że widziały potwora. Czy ja wyglądam na potwora?

— Jesteś najprzystojniejszym psem, jakiego widziałem w moim życiu.

— Pięknie to powiedziałeś! Ale... ale! A ileż ty psów widziałeś w swoim życiu?

— Ciebie jednego tylko...

— No, to niewiele; myślałem, że jestem bardziej przystojny.

— Tak — rzekł prędko Janek — ale gdybym ich znał tyle, ile jest drzew w tym lesie, żadnego bym tak nie kochał jak ciebie!

Robak merdnął ogonem i zakręcił się najpierw w lewo, potem w prawo.

— Co czynisz? — zawołał Janek.

— Nic! ja w ten sposób wyrażam moją najwyższą radość. Taniec ten oznacza, że jestem ci oddany i zaprzysiągłem ci moją wierną przyjaźń.

— Cóż ty, biedaku kochany, możesz dla mnie uczynić?

Robak spojrział głęboko w jego oczy spojrzeniem pełnym bezgranicznej miłości.

— Jeśli pozwolisz — rzekł — jeśli pozwolisz, to mogę...

— Co możesz?

— Mogę dla ciebie umrzeć.

— Robaku! — krzyknął Janek.

— Przebacz mi — mówił pies smutno — że więcej uczynić nie mogę.

Janek patrzył długo na tego dziwnego psa z wielkim wzruszeniem; zawsze lubił go bardzo, bo każdy dobry człowiek lubi zwierzęta, ale teraz całym pokochał go sercem. Pies czuł to, bo wierne jego serce zalała wielka rzewność. Pragnął teraz jakiejś groźnej przygody, aby mógł dotrzymać przyrzeczenia i oddać życie w obronie serdecznego chłopca; byłby się rzucił do gardła największego leśnego olbrzyma i nie dałby uczynić krzywdy temu, co jego rozumiał mowę i jego serce, czyste, wierne, na śmierć oddane psie serce. Od wielkiej radości drżał cały, a oczy migotały mu jak gwiazdy. Zwyczajny to był kundel, biedaczysko bezdomne, a serce miał wielkie i do wielkiej ofiary zdolne. Rwał teraz przed siebie, wietrząc, czy się z wielkim tupotem srogich łap i z traskiem łamanych gałęzi nie zbliża wróg straszliwy, z którym ze skowytami radości stoczy śmiertelną walkę i dech odda ostatni. Wróg jednak nie nadchodził.

W lesie była cisza, ani Janek bowiem, ani Robak przemyślny nie wiedzieli o tym, że w chwili, kiedy ruszali w drogę bez końca przez wielką leśną puszcę, wicher ogromny wpadł między korony niebotycznych drzew i coś otrąbił, jakiś wydał rozkaz, jakiegoś podał hasło, bo drzewo, pochyliwszy się ku drugiemu drzewu, coś mu szeptało, a to mówiło dalej i dalej, i tak bez końca. Potem się zerwał z gałęzi jeden gołąb dziki, za nim drugi, za nim trzeci, za nim czwarty i poleciały w cztery strony świata. Jakaś wiadomość szła przez las, a zanim słońce zapadło gdzieś daleko, po drugiej stronie boru, na leśnej polanie przystanął stary, wspaniały niedźwiedź i ryknął tak, że z najbliższych drzew opadły liście:

— Narodzie leśny! Czworonogie, skrzydlate i pełzające! Wy, które zjadacie mięso, i wy, co żywicie się trawą! Słuchajcie, słuchajcie, słuchajcie! Przez las idzie sierota, co ma serce czyste. Nie zabił żadnego z braci naszych ani żadnemu nie uczynił krzywdy! Z najwyższego rozkazu ma przejść wolno i bezpiecznie. Niech przejdzie bezpiecznie i ten czworonogi, co się wyrzekł lasu i mieszka wśród ludzi. Jego to jest sprawa i mścić się na nim nie wolno! Zejdźcie im z drogi, mięsożerni, dajcie im drogę, jadowici! A kto by nie usłuchał, temu będzie zamknięta droga do wody, aby zginął w mękach pragnienia! Powiedziałem! Uuufff! Ostatni głos potoczył

się jak głaz z osypiska. Kiedy niedźwiedź ogłaszał wielki rozkaz lasu, wszystko na tę chwilę ucichło, nieczęsto się to bowiem zdarzało, aby dziki las, pełen straszliwych klów i drapieźnych szponów, brał kogoś w swoją przemożną opiekę. Wszystko, co w nim było żywe, nastawiło uszy i słuchało pilnie, ażeby żadnego nie uronić słowa, okropną bowiem rozkaz ten zapowiadał karę, długo bowiem można cierpieć głód, lecz nie ma straszliwszej udreki ponad pragnienie, kiedy ponadto woda jest blisko, a nie ma do niej dostępu. Najpilniej nasłuchiwały wilki i rysie, najbardziej okrutne; patrzył wilk na wilka w milczeniu i krwawymi w bezsilnej złości toczył oczyma; rozkaz ten niespodziany w ich przede wszystkim zwrócony był stronę. Nie chcąc swojej żarłoczności wystawiać na pokuszenie, zaszyły się w gąszcze, aby tym pewniej uniknąć spotkania człowieka, którego chronił las. Zwierzęta łagodne, nie mając najmniejszego zamiaru napastowania go, myślały o tym jedynie, czym sobie na tak wielką łaskę zasłużyło to dwunożne stworzenie, niezwykle brzydkie, bo nie posiadające tak naturalnej i wspaniałej ozdoby, jaką jest ogon, krótki czy długi, skręcony czy w górę zadarty, mizerny czy też puszysty, ale zawsze ogon. Szybko więc zapomniały o groźnym uniwersale, jeden jedyny tylko zając, Wojtek Skoczybruzda, największy tchórz, jakiego kiedy święta ziemia nosiła, srogie zaczął stroić miny, tłukł łapami o ziemię i stroszył długie wąsiska, jakby chciał trwogą cały napelnić świat. Bracia zające z niezmiernym patrzyły na niego podziwem, wreszcie rzekł jeden:

— Czy przypadkiem nie zwariowałeś, miły kuzynie?

— Ha! ha! — zakrzyczał Skoczybruzda dziwnym głosem — jestem przy zdrowych zmysłach, ale jeśli oszaleję, to z wściekłości!

— A cóż ciebie tak wściekło?

— Jak to co? Nie słyszałeś, o czym ryczała niedawno ta beczka sadła, którą głupio nazywają niedźwiedziem?

— Słyszałem, i cóż z tego? Co to obchodzi zająca?

— Bardzo mnie właśnie obchodzi, bo dzisiaj, dzisiaj właśnie miałem apetyt na kawał ludzkiego mięsa i dobry łyk psiej krwi.

— Ty, zając?

— Tak, ja!

— Zające! ratujmy się, to wariat! Chcesz zjeść człowieka?

— Zjem go! zjem go!

Skoczybruzda, wykrzykując straszliwe swoje groźby, dawał równocześnie jakieś tajemnicze znaki osłupiałym zającom i wciąż spozierał na boki. Patrzyły na niego przerażone, niczego nie rozumiejąc, aż się uspokoił po chwili i cicho powiada:

— Czy byłem dość straszny i okrutny?

— Przerażliwie byłeś straszny i niebywale okrutny, ale po co wyprawiałeś te sztuki?

— Zaraz wam powiem: nie opodał, w krzakach, zobaczyłem lisa, dlatego więc krzychałem, że zjem człowieka, aby się nastraszył, zrozumiał, jaka jest we mnie wściekłość i siła. Przeraził się i uciekł! Odtąd będzie mnie unikał jak śmierci! Ja jestem bohater!

— Ty jesteś kapuściana głowa. Twój ojciec musiał dużo zjeść kapusty, jeśli syn ma taką głowę...

— W nogi! — wrzasnął nagle bohaterski zając.

Nie pytając, co się stało, zające pognały jak szalone i, kiedy ubiegły ze dwie mile, przystanęły zdyszane.

— Co to było? — szeptały, ledwie zapiąc.

— Człowiek z psem! — rzekł bohater. — Człowiek wielki, jak góra, a pies taki ogromny, jak dwa wilki, i ogień buchał mu z pyska.

Ani Janek, ani Robak nie wiedzieli o niczym; ani o tym, że byli pod opieką lasu, ani o tym, że Wojtek Skoczybruzda dybał na ich życie. Dziwił się Janek nieco, że ile razy z nagła napotykali zwierza, wnet każdy przepadał jak cień, bezszelestny i nieuchwytny. Robak jeżył czasem sierść na grzbiecie i w oczach rozpałał zielone błyski, kiedy czuł wilki w pobliżu, ale żaden nie zaszedł im drogi. Janek nie myślał nawet o niebezpieczeństwie; urodził się w lesie i w jego wychował się cieniu; rozumiał jego mowę, znał jego duszę, rozszumianą i bogatą, rozśpiewaną na wiosnę, w lecie i w jesieni, a niemą i okropnie męki cierpiącą w zimie. Kochał ten las z całej duszy, choć nie wiedział, że las mu teraz tę miłość serdeczną oddaje.

Szedł przed siebie, nie wiedząc, dokąd idzie. Wierny Robak biegł przed nim, jako straż przednia, myszkując i zaglądając w każdy wykrot. Żywili się po drodze obaj tym samym: jagodami, pies bowiem, wielki filozof, wiedział, że lepiej zjeść byle co niż nic, jadł więc, co się dało.

— Dokąd my tak zajdziemy? — rzekł wreszcie Janek.

Robak machnął lekceważąco ogonem, w prosty ten sposób wyrażając swoje zdanie, że mu to zupełnie obojętne. Wszędzie był las, wszystko więc było jedno, dokąd się zajdzie. Głęboko był przekonany, że świat cały składa się z nieba i z lasu; na niebie jest miłe słońce i nieprzyjemny, wciąż z biednego psa naśmiewający się księżyc, a w lesie są zające i inna hołota. Reszta się nie liczy.

Janek mówił:

— Patrz, Robaczku, już gwiazdy wiszą na gałęziach. Noc nadchodzi. Trzeba nam będzie odpocząć. Ty masz cztery nogi, więc ci łatwiej chodzić, ale ja mam tylko dwie.

Robak wykrzywił śmiesznie pocziwą psią gębę, przez co wyraził zdumienie, że chłopak tak zacny, jak Janek, ma tylko dwie nogi, chociaż w pełni zasługuje na to, żeby mieć cztery, co jest udziałem najszlachetniejszych stworzeń, jak pies na przykład.

— A kot? Kot ma też cztery...

— Prawda! — kiwnął ogonem Robak. — Widać z tego, że i zwyczajne tałajstwo też na czterech ugania nogach. Wielki nieporządek jest na świecie! Ale mimo tego odpocząć można, bo moje cztery nogi są w stanie dość oplakany; jakiś głupawy jeź musiał tędy przechodzić i pogubił kolce, które ja zbieram nogami.

— O, biedaku! Szczerze mi cię żal...

— Dziwny ty jesteś, przyjacielu Janku — rzekł Robak. — Na siebie nie zwracasz uwagi, choć masz nogi we krwi, a mnie żałujesz...

— Bo ja sobie dam radę, a ty nie.

— Ej, Janku, coś mi się zdaje, że uczciwy kundel ma w tych sprawach większe doświadczenie. Czy potrafisz, na przykład, zębami złapać pchłę na prawej łopatce?

— Ha! ha! — zdumiał się Janek. — Nie potrafię.

— Widzisz, a ja potrafię. Pokazałbym ci od razu tę sztukę, bo czuję, jak mi się jedna wierci w okolicy ogona, ale ją chcę zachować przy życiu.

— Po co?

— Jak to po co? Na wieczrę albo lepiej jeszcze na jutrzejsze śniadanie.

— A jeśli ci ucieknie?

— Pchła? Nigdy! Żyje ze mnie, więc mnie nie opuści. Ale spojrzysz, jakie to miłe schronienie na nocleg: jest tu wygodnie i źródło gdzieś w pobliżu gada.

Było to zaciszne miejsce na polance; las dokoła stał jak mur, tu zaś było nieco jaśniej. Janek wyciągnął się na trawie, Robak przysiadł przed nim.

— Będziemy spali, psie!

— Nie wszyscy — rzekł Robak.

— Dlaczego, wszak i ty będziesz spał?

— Kiepski pies może by to zrobił, ale ja nie jestem kiepskim psem. Uczciwy pies nie śpi, kiedy śpi jego pan.

— Ja nie jestem twoim panem! Jestem twoim przyjacielem...

— Tym lepszy powód, abym nie spał.

— Przecie nam nic nie grozi, spokojnie jest dokoła i cicho. Dzikie zwierzęta też jakby wymarły.

— Tak. ale może przyjść najgorsze i wtedy biada nam!

— Jakie najgorsze? Jak się nazywa?

— Księżyc... mój ciężki wróg... Mnie jednego się boi i odlatuje, kiedy na niego zawyję.

Janek uśmiechnął się po raz pierwszy.

— Dzisiaj go nie będzie — rzekł. — Możesz spać spokojnie.

— Wszystko mi jedno. Nad ranem, kiedy ci już nic grozić nie będzie, trochę się zdrzemnę, ale nie prędeż.

— Dobrze już, dobrze. Przytul się do mnie, będzie nam cieplej.

— Nie mogę tego uczynić...

— Czemu? — zdumiał się Janek.

— Bo to widzisz... ta pchła... czuję, jak się wierci... Jutro zrobię z nią koniec, ale dzisiaj muszę się trzymać od ciebie z daleka. Jest to stworzenie głupie, które nie odróżnia psa od człowieka. Dobranoc!

— Strasznie ty jesteś śmieszny, Robaku! — rzekł Janek. — Spij dobrze i niech ci się przyśni zajac.

II

Mijały dni i mijały tygodnie, a oni wędrowali wciąż jeszcze; we dnie wielka parność lasu wyciskała z nich siły, nocami zaś trapił ich chłód, rosą kroplistą płaczący. Żywili się nędznie, chociaż Robak był w lepszym położeniu, udało mu się bowiem upolować czasem żabę, której nie mogły ocalić obłąkane skoki. Po pewnym czasie wyglądali tak, jak gdyby sprzedali swoje ciała, a wędrowali jako własne cienie, ślaniające się ze zmęczenia i nadmiernego utrudzenia. Robak wypowiadał na ten temat myśli ponure i zgryźliwe.

— Pies, uczciwy pies — powiadał — taki z dziada pradziada, dużo znieść potrafi, ale coś mi się tak widzi, że nawet jak na psa nieco już za wiele tej naszej nędzy. Niech mi kto powie, dlaczego psy nie jedzą trawy ani kwiatów, ani żołądzi. Byłbym najszczęśliwszym psem na świecie, bo tych specjałów jest dokoła, ile dusza zapagnie. I co z tego? Głupia dzika świnia naje się żołądzi, że ledwie nie pęknie, a mądry pies ginie z głodu. Czy to tak być powinno?

— Najemy się jeszcze kiedyś, Robaczku, najemy! — pocieszał go Janek.

— Wolałbym od razu najchudszą kość niż najbardziej tłustą obietnicę.

— Taki jesteś głodny?

— Czy jestem głodny? Mam ochotę zjeść samego siebie, bo nazywam się Robak, robak zaś jest stworzeniem jadalnym. Jakoś ja to jednak wszystko przetrzymam, ale co będzie z tobą, najdroższy biedaku? Zauważyłem, że nie lubisz ani żaby, ani nie zjadłeś nigdy chrabąszcza, czego nie rozumiem, bo chociaż są to kreatury niezbyt inteligentne, ale nie wpływa to bynajmniej na ich smakowitość.

— Pożywiłem się niedawno, miły Robaku, i bardzo jestem najedzony.

— Właśnie tak samo myślałem, bo widzę przez twój brzuch, co się dzieje za twoimi plecami. Wiesz co, Janeczku? Kiedy będziesz śmiertelnie głodny, najesz się doskonale...

— W jaki sposób i czym?

— W bardzo prosty sposób; rozpalisz wielki ogień, zapłaczesz, a potem zjesz jedno stworzenie, zupełnie na tym świecie niepotrzebne.

— Jakie stworzenie?

— Zjesz swego przyjaciela, uczciwego psa Robaka!

— Mój przyjaciel Robak — odrzekł wzruszony Janek — jest to uczciwy pies, ale czasem bredzi tak jak sroka. Robaku!

— Co się stało? Zobaczyłeś żabę?

— Las się kończy!

Poprzez gęstwinę widać było szeroki kraj, daleki i jasny w promiennym świetle poranka; na widnokregu wyrastały góry, poszczerbione i niebieskie.

— Więc to jest świat? — mówił cicho Janek. — O, jak szeroki, o, jaki piękny! Las jest piękny, ale tu jest piękniej jeszcze. Pójdziemy tam, Robaku?

Robak patrzył oczarowany i wietrzył pilnie.

— Bardzo mi się tutaj podoba — rzekł. — Jeżeli jeszcze znajdzie się cokolwiek do zjedzenia, możemy ten nowy świat zaszczyścić naszą obecnością. Czuję w sercu dziwną błogość, choć w głowie mi się cokolwiek kręci, być może jednak dzieje się to z tego powodu, że w ostatnich czasach żołądek mój umieścił się w mojej głowie, aby być bliżej oczów. Czy zejdziemy w tę piękną dolinę?

— Chodźmy, piesku najmilszy! Skończyły się nasze utrapienia. Nie może być, aby w tak rozkosznym kraju źle było uczciwym Bożym stworzeniom.

Nowe wstąpiły w nich siły, kiedy zaczęli szybko schodzić chłodnym jarem ku jakiejś wielkiej wodzie, która w słonecznym blasku ciekąca i pomarszczona lekkim wiatrem tak wyglądała, jak srebrną łuską okryta ogromna ryba. Spieszyli ku tej wodzie, jak gdyby z nią miód płynął i mleko. Janek szedł wzruszony, po raz pierwszy w swym życiu kraj widząc otwarty i bez końca, niebem lazurowym nakryty, napełniony rzeźwością i przezrytym powietrzem — Robak zaś, jeszcze chudszy w pełnym świetle niż w mrokach lasu, podskakiwał zabawnie, a tak ostrożnie, jak gdyby się bał, że przy gwałtowniejszym ruchu porozlatują mu się bezmięsne kości.

Ubiegli już szmat drogi, kiedy nagle Robak stęzał w bezruchu, nastawił uszy i węszył pilnie.

— Co się stało? — szepnął Janek.

Wtem ozwał się ryk przeraźliwy, jakby spod ziemi; z jakiejś wyrwy czy z jakiegoś wykrotu podniósł się ogromny człowiek: miał długie, kosmate, ośle uszy, oczy okrągłe jak sowa i straszliwą paszczę od ucha do ucha, w której błyskało najmniej sto ostrych kłów; wcale nie odziany, obrosły jak niedźwiedź, wyciągnął przed siebie długie ręce, zakończone siedmioma palcami złączonymi błoną.

— Jezus, Maria! — krzyknął Janek, widząc, że te straszliwe ręce sięgają ku jego gardłu.

Potwór już, już miał go uchwycić, kiedy nagle wydał głuchy ryk; to Robak, zebrawszy resztki sił, z rozpaczą w rozbłyśniętych krwawo oczach, widząc niechybną zagładę Janka, cisnął się jak kula na pierś straszliwej zjawy i wpił w nią zęby; kosmata bestia chwyciła go jednak za gardło, tak że szlachetny pies jęknął tylko, potem, ciśnięty wściekłym ruchem potwora, padł daleko na skały. Krew mu się rzuciła z pyska, a oczy zaszyły mu bielmem. Stracił

czucie i nie widział, jak potwór chwycił Janka, przerzucił go sobie bezwładnego na ramię, jak pusty, chudy wór i, wydając porwane, chrapliwe okrzyki, zginął gdzieś wśród skalistych jarów.

Po długiej chwili ból ocucił nieszczęsnego Robaka; sam sobie nie dowierzał, że jeszcze żyje. Twarde też było to wymizerowane życie, jeśli z niego nie uleciało po takim ciosie. Biedny pies otworzył z trudem oczy i pierwszym spojrzeniem szukał Janka. Poczł w sercu dotkliwy ból, kiedy go nigdzie nie ujrzał; zaczął sobie przypominać okropną historię i na jej wspomnienie wydobyło mu się z gardła głuche, stłumione, jak gdyby krwią oblane wycie. Stało się coś strasznego, a on tu leży bezsilny, zmiętoszony i nędzny, jak krwawy łachman. Próbował podnieść się i uczynił to z bolesnym wysiłkiem. To jedno rozumiał, że choćby miał ducha wyzionać, musi wstać i biec na ratunek tego, którego ponad wszelkie pojęcie miłowało jego wierne serce. W każdym włóknie ciała czuł ból dotkliwy i piekący, ale wstał i utrzymał się na nogach, bardzo drżących i bezsilnych. Pił zachłannie chłodne, czyste powietrze, potem ostrożnie, cicho skowycząc przy każdym ruchu, poczał się wlec w tę stronę, skąd go dochodził cichy i senny szmer wody. Kiedy ją odnalazł, pił zachłannie i długo, czując, że mu sił przybywa. Położył się potem i rozmyślał.

“Jeżeli — mówił sobie — pójdę teraz walczyć z potworem, on mnie zabije, bo na dobrą sprawę nie mógłbym teraz zabić nawet muchy. Rozmyślaj, Robaku, rozmyślaj! Od tego zależy życie Janka, czy będziesz myślał roztropnie, czy głupio! Co ci mówi twój wielki rozum? Twój wielki rozum powiada ci, abyś przede wszystkim nabrał sił, a potem poszedł do walki. Dobrze! Ale ty, Robaku, jesteś mały, a potwór jest wielki. Cóż z tego wynika? Z tego wynika, że w walce otwartej nie dasz mu rady i trzeba będzie straszliwego tego, obwiesia pognębić sprytem. Skąd jednak wziąć ten spryt? Gdybyś, biedaczyno, miał cokolwiek w żołądku, to i spryt by się znalazł. Żołądek nie jest tak daleko od głowy, jakby się to na pozór zdawało. Janek jest mądry, więc się od razu nie da zabić, już on coś tam wymyśli, a ja tymczasem spróbuję odnaleźć bohaterskiego ducha, którego ten straszny bałwan ze mnie wytrząsa!”

Wedle tej recepty mądry Robak spał przez cały dzień i przez część nocy, potem, znacznie już zwawszy, poszedł na nocne polowanie, a jako stary, w wielu przygodach zaprawny myśliwy, dokonał tej nocy rzeczy krwawych w słusznym mniemaniu, że pies nie jada kwiatków i jest psem. Robak w tym względzie nie był obłudny.

Otrząsał się, jakby chciał z siebie razem z pchłami wytrząść resztki rozpacz i znużenia, kłapnął zębami, jakby pragnął sprawdzić ich siłę, i rzekł: — Jestem gotów na śmierć!

Powrócił w to miejsce, gdzie ich potwór pognębił, podniósł pysk, długo węszył, potem rzucił się w mroki nocy, jak nurek w czarną wodę. Biegł długo zygzakami, aż dobiegł do jakiejś ponurej zagrody, otoczonej ostrokołem.

— Tu mieszka potwór! — rzekł do siebie.

W tej chwili poczuł woń psa. Uskoczył w bok i natężył wzrok; z dziury, wygrzebanej pod ostrokołem, wyczołgało się olbrzymie psisko, czarne jak smoła, z zielonymi latarniami oczu. Poczawszy Robaka, warknął głucho, obnażył śnieżne kły i cisnął się na niego całym rozpędem. Robak, zwinny i bystry, mignął tylko, jak błyskawica, i odskoczył tak, że czarne psisko uderzyło w próżnię. Znowu skoczyło i znowu nie było Robaka. Powtórzyło ten napad kilka razy, coraz bardziej zdumione. Najbardziej jednak zdumiało je to, że z najmniej spodziewanej strony ozwał się szyderczy głos:

— To tak witasz swojego stryjecznego brata?

— He? — zdziwił się czarny pies. — Pokaż mi się, a wydrę ci serce!

— Gdybym chciał — odrzekł Robak — wydarłbym ci i serce, i wątrobę.

— A ja tobie serce, wątrobę i śledzionę!

— A ja tobie serce, wątrobę, śledzionę, żołądek!

— A ja tobie serce, wątrobę, śledzionę, żołądek i nerki.

— A ja tobie — zakrzyknął Robak — serce, wątrobę, śledzionę, żołądek, nerki i... i... poczekaj, a za chwilę sobie przypomnę i wydrę ci to, o czym na razie zapomniałem. A wiesz, za co?

— Mało mnie to obchodzi!

— Ale ja ci powiem: za to, że brat pies w ten sposób wita brata psa.

— Ja nie jestem psem! — warknął czarny.

— A cóż ty jesteś?

— Ja jestem diabeł, czarny diabeł! Bój się mnie!

“To jakiś bałwan, niespełna rozumu” — ucieszył się Robak; potem dodał głośno: — Od razu tak sobie pomyślałem i dlatego bałem się z tobą walczyć. Zabiłbyś mnie jednym uderzeniem łapy. Straszny ty jesteś diabeł! Przebacz mi, że się uniosłem i śmiałem ci grozić, ale szczerze tego żałuję. Gdyby nie było tak ciemno, widziałbyś, że z wielkiego żalu gorzko płacę. O, wspaniały, czarny diabeł! A dlaczego ty jesteś diabłem?

— Bo służę u diabłów i oni mnie tak przezwali.

— Patrzcie, patrzcie! To ty jesteś taki potężny?

— Mogę zrobić wszystko, co mi się podoba.

— Patrzcie, patrzcie! I czy także wszystko wiesz?

— Ja wiem, jak trawa rośnie!

Robak cmoknął z wielkiego podziwu.

— To zdumiewające! — zakrzyknął i ostrożnie wychynął z cienia. Mizernie wyglądał wobec potwornego brytana, który mu się przyglądał ciekawie. — Ale z pewnością tego nie możesz wiedzieć, czy w tym czarnym domu jest mały chłopiec, którego tam niedawno przynieśli?

— Zadajesz mi niemądre pytania. Widziałem go przed chwilą. Leży związany i wciąż woła jakiegoś robaka. Głupi to musi być chłopiec, któremu się w nocy zachciało robaków.

— Powiadasz, że woła Robaka?

— Co tobie się stało. Czego tak drżysz?

— To nic; to nic! To z wielkiego szczęścia, że poznałem tak wspaniałą i dostojną jak ty osobę.

— A któż ty jesteś?

— Iii! — machnął ogonem Robak. — Nawet mówić nie warto; ja jestem taki sobie mizerny kundel, którego pchły gryzą.

— A jak się nazywasz?

— Jak ja się nazywam? Bardzo śmiesznie: Wojtek Bezportek. Racz, dostojny czarny panie, nie zwracać na mnie uwagi, gdyż szkoda każdego twojego spojrzenia. Powiedz mi lepiej, czy w swej niezmiernej łaskawości nie pozwoliłbyś mi ujrzeć na krótką, króciutką chwilę wnętrza tej sadyby. Wleżę przez tę dziurę pod ostrokołem, spojrzę i natychmiast wrócę.

Czarnemu diabłu zamigotały oczy krwawym blaskiem; warknął głucho i rzekł:

— Jeśli jeszcze raz wspomnisz o tym, przegryzę ci gardło. Nikomu tam wchodzić nie wolno. Czy chcesz zaraz umrzeć?

— Ach! ach! — zaśmiał się Robak. — Przeklęta ta moja ciekawość! Nic mnie to nie obchodzi, co się dzieje w tym domu. Ot, tak sobie powiedziałem na wiatr. Żeby mi ogon odpadł za takie gadanie. Przebacz mi, władco nocy!

— A po co tu przyszedłeś?

Robak myślał długą chwilę, po czym ostrożnie zbliżywszy się do czarnego opryszka rzekł cicho:

— Gdybym wiedział, że mnie nie zdradzisz, wielką odkryłbym ci tajemnicę. Uczyniłbym to tylko dla ciebie, z wdzięczności za dobre przyjęcie.

— Gadaj prędko, bo nie mam czasu!

— Oto widzisz, dostojny panie, jak jestem zagłodzony i nieszczęśliwy. Przywędrowałem tu jednak z daleka, bo się w tej okolicy będą tej nocy dziwne działy rzeczy. Racz spojrzeć w górę i powiedzieć mi, co tam widzisz?

Strasliwy dryblas przekręcił głowę, długo patrzył, po czym rzekł:

— Jakieś żółte stworzenia, które mrugają.

— Aha! a wiesz ty, co to za stworzenia?

— Ja wszystko wiem, tylko tego wyjątkowo zapomniałem.

— Oczywiście! Któż może wszystko spamiętać, mając tyle na głowie? Jeśli pozwolisz, to ci powiem: są to tłuste, młode gęsi, które się pasą na niebie. Otóż ja się dowiedziałem, że dziś jest taka noc, podczas której te gęsi będą zlatywały na ziemię, aby się napić wody, i dlatego tu jestem. Raz w życiu przynajmniej najem się doskonale.

— Powiadasz, że to są gęsi?

— Tak, wielki czarny diable.

— A kiedyż zaczną spadać?

— Lada chwila!

— A nie łżesz ty?

— Jeśli zełgałem, niech mnie... Patrz, patrz!

W tej chwili złota gwiazda oderwała się od nieba i, sypiąc złote poza sobą iskry, padła w daleki las. Robak aż stracił dech z radości.

— Patrz, oto jedna już zleciała, tak że aż się z niej posypało pierze. Tylko patrzeć, jak za nią pójdą inne. Ta padła gdzieś daleko, ale i tu ich napada tyle, że przez sto lat wszystkich zjeść nie będzie można. Czy zjadłbyś tłustą gąskę, dostojny szatanie?

— Owszem, lubię tłuste ptactwo...

— Więc zachowajmy głębokie milczenie i czekajmy. Odejdź nieco dalej, bo będą się bały domu, i wciąż patrz w górę. Chwilę trzeba będzie poczekać, ale niech cię to nie niecierpliwi. Ja usunę się w mrok i zjawię się, kiedy mnie zawołasz. Oto tam wybornie stanąłeś. Ach, jaki jesteś piękny z głową ku niebu zadartą. Czy pilnie patrzysz w górę?

— Bardzo pilnie!

— Czy nie czujesz zapachu gęsi?

— Coś mi się zdaje, że czuję. Nie jestem pewny, czy tak pachnie gęś, ale coś jednak pachnie.

— To z pewnością gęś. Patrz, patrz, znowu jedna leci. Ach, jaka tłusta... Szkoda, upadła w wodę. Nie odwrócisz się?

— Mogę się nie odwracać...

— Więc stój tu, bałwanie, do rana — szepnął sam do siebie Robak i jednym susem przelazł pod ostrokołem.

Jak błyskawica przebiegł wszystkie kąty i, kierując się więcej sercem, co w nim trzepotało się jak ptak, niż węchem, odnalazł Janka. Chłopiec leżał związany, obok niego wałały się w brudnej misie jakieś ochłapy i stał dzbanek z wodą.

Robak przypadł mu do piersi i zdawać się mogło, że pies szlocha z radości.

— Robak! Robak najdroższy! — szeptał Janek.

A pies lizał mu twarz i ręce i skomlał cichutko. Niezmierne szczęście nappełniło go całego, tak że aż drzeć począł. Wnet jednak rozsądek wziął górę nad miłością.

— Tak, to ja... — skomlał. — Muszę uciekać... jutro wrócę... czekaj mnie w nocy...

Czy bardzo cierpisz?

— Cierpiałem bardzo, męczyli mnie, ale teraz już nie cierpię, kiedy ciebie widzę...

Teraz wszystko się uda...

— Mów prędko, kto tu jest?

— Czarownica z synem...

— To ten, co nas napadł?

— Tak, to on... Okropny... Jest straszny pies...

— Straszny, ale trochę pomyłony... Wiem, wiem... Kto jeszcze?

— Jeszcze jest anioł!

— Co to znaczy anioł? Czy to ptak?

— Nie, dziewczynka... Mówiłem jej o tobie... bardzo płakała...

— Nic nie rozumiem... jutro w nocy powrócę... bądź zdrow...

— Robaku, nie odchodź, nie odchodź!

— Muszę... Tam na mnie czeka śmierć... Bądź zdrow!

Polizał go ozorem po twarzy i nagle zatrzymał się w skoku.

— Ty płaczesz? Wstyd!

— To z radości.

— Jeśli tak, to sobie płacz!... Zmykam!

Jak cień mignął, jak wąż przesunął się pod ostrokołem i, zdyszany bardzo, spojrzał niespokojnie, co robi czarny diabeł psiego pochodzenia; jeśli widział jego wyprawę, trzeba będzie dać porwać się na strzępy. Nie! nie widział. Jak oczarowany patrzył w gwiazdy i wywalił z wielkiego natężenia ozór na dwa łokcie; z pyska ciekła mu ślina.

— Ach! — westchnął Robak.

Czarny pies drgnął, jakby się obudził, i głucho warknął:

— Ocyganiłeś mnie, marny szczeniaku! Czekam i czekam i nic z tego. Gdzież są te smakowite gęsi? Muszę zjeść dziś ze dwie, bo jeśli nie zjem dwóch gęsi, to z całą pewnością zjem jednego psa. Zrozumiałeś, przybłądo?

— Zrozumiałem i wcale się nie dziwię, że tak w tobie rozgorzał apetyt na te wspaniałe ptaki. Nigdy nie jadłeś lepszych i tłustszych.

— Oh! oh! — sieknął czarny pies — nie mów tak, nie mów tak, bo oszaleję!

— Widać jednak, że stało się nieszczęście, bo, jak to sam widziałeś, wszystkie zlatują z nieba w tamtą stronę, a tu żadna nie spadła, bo pewnie widzą dom albo boją się ciebie, dostojny panie.

— Więc co robić?

Robak pomyślał chwilę i zapewne coś łajdackiego wymyślił, bo się uśmiechnął w ciemności.

— Gdybyś, o panie — rzekł tajemniczo — chciał posłuchać mojej rady, mógłbyś za chwilę złowić ich, ile byś tylko zapragnął.

— Mów prędko, mów prędko!

— Zauważyłem, że wszystkie padają niedaleko stąd, a teraz rozumiem dlaczego. Jest tam wśród jarów głęboka woda, na którą siadają. Gdybyśmy tam pobiegli, wyłapalibyśmy wszystkie. Czy możesz się oddalić?

Czarny obejrzał się trwożnie i cicho rzekł:

— Jestem wielkim panem i robię, co mi się podoba! Czy to daleko?

— Bliziućko... Biegniemy?

— W drogę!

Pognał przodem Robak, lekki jak duch, a za nim ciężko człapała tłusta zakała psiego rodu. Robak wiódł go nieomylnie, bo kiedy niedawno uganiał się w tych stronach za pożywieniem, poznał każdy przesmyk. Dzikimi wertepami wiódł czarnego diabła pomiędzy jary i rozpadliny, wreszcie zaczęli biec pod górę. W pewnym miejscu przystanął na skalnym występie i spojrzął w dół: w głębokiej rozpadlinie, wśród bardzo wysokich, lecz niemal prostopadłych skał czerniło się, jak ciemne oko, małe jeziorko. W spokojnej wodzie odbijały się gwiazdy, lekko mrugając.

— Cicho! — szepnął.

Czarny bęcwał spojrzął ciekawie w dół.

— Są tutaj — szeptał Robak — pływają sobie po wodzie, tylko skoczyć i mordować.

— Skocz ty pierwszy!

— To niemożliwe — mówił Robak. — Jeśli ja skoczę, spłoszę je i odlecą. Złowię jedną, a inne uciekną; jeżeli ty skoczysz, porwiesz, ile będziesz mógł, a mnie z wdzięczności dasz jakąś kosteczkę.

— Coś mi się ta woda nie podoba... — rzekł czarny — usuń się, chcę spojrzeć w dół.

Robak uskoczył skwapliwie, a czarny stanął na najdalszym występie i podejrzliwie spoglądał w czeluść.

— Jakieś to dziwne gęsi — zaczął mówić powoli — ani z pierza, ani z mięsa... Albo to jest jakieś wielkie cygaństwo, a ty jesteś drab, kuty na cztery nogi, albo...

Nie dokończył swej roztropnej przemowy, bo Robak, osadziwszy się mocno, ducnął go głową z całej siły w tył. Czarny diabeł fiknął koziołka i na łeb zleciał w wodę, która prysnęła jak fontanna. Zaczął ją tłuc łapami i za chwilę wygramolił się na jakąś skałę, ale wyjścia stąd nie było! Siedział jak w garnku, na którego dnie bulgotała czarna woda.

— Masz gęś? — krzyknął Robak. — Posiedź tam sobie, kuzynku, i łap ryby. Nie pragnę twojej śmierci, bo jestem wspaniałomyślny, ale prędko stąd nie wyleziesz. Widzisz, jak to źle być niegościnnym, a do tego głupim. Chciałeś zjeść Robaka? Taki bęcwał jak ty? A krzycz tam, krzycz, nie będzie ci się nudziło... Ty jesteś numer pierwszy, a teraz biegnę zobaczyć, co robi twój pan, co ma ośle uszy, a psa miał całego osła.

III

Kiedy potwór siedmiopalczasty i sowiooki porwał Janka, poniósł go przez jary i wądoły do sadyby, do tej właśnie, do której tak chytrze na krótką rozmowę przedostał się Robak. Tam go cisnął omdlałego na ziemię i głosem tak przeraźliwym, że przelatująca właśnie nad sadybą wrona fiknęła ze strachu kozła w powietrzu i umknęła przerażona, zakrzyknął:

— Hej, matko, a wyjrzyj no tutaj!

Z jakiejś osmolonej budy wyleciał głos taki ochrypły, jakby też był na węglach przypalony:

— Zaraz, zaraz, tylko wezmę dziewczynę na postronek!

Omdlałego Janka obudziły te piekielne głosy; otworzył ciężko oczy i zobaczył pochylonego ponad sobą potwora, przed którym łaśli się czarny jak smoła pies, mający wplątane w gęste kudły osty i źdźbła starej słomy. Psisko warczało, spoglądając na Janka krwawymi ślepiami i szczerząc kły tuż nad jego gardłem.

“Ratuj mnie, mateczko moja!” — modlił się chłopiec w duszy.

Potwór jednak kopnął psa w brzuch, tak że pies zemknął ze szczekliwym płaczem, potem trącił nogą Janka:

— Wstawaj, chmyzie! — zakrzyknął.

Janek podniósł się z trudem, lecz w tej samej chwili zachwiał się z przerażenia: ze smolistej budy wylazła wiedźma, bardzo mała i chuda, lecz z głową tak ogromną jak ceber; wyglądała tak, jakby w tej głowie mogła zmieścić całe swoje ciało i jeszcze zostałyby w niej miejsce na wór kartofli albo na beczkę kapusty; miała okrągłą twarz, z której zwieszał się nos miękki i mięsisty, długości krowiego ogona, wciąż się chwiejący, jak gdyby nim spędzała muchy; kiedy odsłoniły się jej usta, Janek ujrzał, że wiedźma ma cztery tylko zęby, dwa w górnej, a dwa w dolnej szczęce, zmurszałe i zielonego koloru. W jednej ręce trzymała pęk pokrzywy, a drugą ciągnęła na sznurze, zaciśniętym na szyi ofiary, prześliczną dziewczynę w wieku Janka, okrytą łachmanami; miała wielkie, niebieskie, ciągłą trwogą napelnione oczy, a bledziutką twarzyczkę znaczoną śladami uderzeń pokrzywą. Szła za wiedźmą bezwolnie, jakby pół żywa. Ujrzawszy Janka, przystanąła i zawołała cichutko:

— Och, nieszczęśliwy!

Za to otrzymała uderzenie pokrzywami po bosych nogach, zdawało się jednak, że tym razem tego nie czuła, wpatrzona w zbiedzonego chłopca. Wielkie, jasne łzy napelnily jej oczy. Janek zaś widząc to straszne znęcanie się nad bezbronną istotą, nie zastanowiwszy się, że jest

słaby i bezsilny, tylko szlachetnym uniesiony oburzeniem, skoczył ku wiedźmie, wyrwał z jej rąk parzące pokrzywy, precz odrzucił, potem własnym, biednym ciałem zasłonił dziewczynkę, gotów na śmierć. Przekonany był, że go śmierć czeka niechybna, czekał jej tedy z jasnym spojrzeniem, bez trwogi; cały był drżący, lecz z gniewu. Czuł, jak nieszczęśliwa dziewczynka przytuliła się do niego, więc sobie zakrzyknął w duszy, że będzie jej obrońcą do ostatniego tchnienia. Patrzył teraz roziskrzonym wzrokiem, skąd padnie cios; ale te straszne monstra nie uderzały; olbrzymia głowa wiedźmy przybrała wyraz nieskończonego zdumienia, a dwułokciowy nos chwiał się i wił się jak wąż. Drugi potwór rozdziawił swoją paszczę, w której widać było sto kłów, tworzących jak gdyby palisadę.

Wreszcie wiedźma wydała z siebie drący uszy pisk: — Zabij go, synku Goliacie!

Ale jej syn, potwór sowiooki, zarechotał jak żaba, co miało oznaczać śmiech, i rzekł:

— Jeszcze nie teraz, matko. Mam sto zębów, a taki chruściel wystarczyłby za ledwie na jeden. Najpierw go utuczę, potem zedrę z niego skórę, popieprzę, posolę i nadzieję pachnącą trawą.

— Aha! aha! — zaskrzeczała stara — smaczny będzie, smaczny będzie. Ona go będzie tuczyć.

— O, doło moja! — zapłakała dziewczynka.

Wiedźma pociągnęła postronek, tak że dziewczynka upadła na kolana; wtedy syn czarownicy chwycił Janka za kark, podniósł go ku swojej strasznej twarzy i krzyknął:

— Będziesz jadł chleb i kluski, aż się staniesz gruby. Ten czarny diabeł, mój sługa, będzie cię pilnował, abyś nie uciekł; będziesz z nim z jednej jadał miski, bo jego też zjem, kiedy mi przyjdzie na to ochota. Ty będziesz pierwszy. Ha! ha! ha!

Janek usiłował wyrwać się z silnych rąk potwora, ale wierzgał tylko nóżętami, więc nagle jedną nogą wyrznął go w okrągłe oko. Potwór zawył, zazgrzytał tak zębami, że iskry z nich poleciały, i zaskrzeczał:

— Takiś ty, ludzki diable?

— Zabij go! zabij go! — piszczała wiedźma.

Dziewczyna zapłakała głośno.

— O, nie! — pinił się potwór — to za mała kara! Będę teraz myślał dzień i noc i takie mu męki obmyślę, że siedem razy umrze, zanim go nadzieję na rożen. Czarny psie! pilnuj mi go jak własnej głowy!

— Uhu! — ucieszył się pies.

Potwór związał Janka łykiem i cisnął go na mierzwę. Janek, zupełnie osłabły i półżywy z wyczerpania, ciężko oddychał i patrzył ze śmiertelnym smutkiem na biedną dziewczynkę, zalaną łzami.

— Ty, dziecisko — syczała jej stara nad uchem — dasz mu otrąb zalanych wodą. Teraz wybieram się w podróż, a ty weźmij z pieczary wór mąki i drożdży, upieczesz wiele chlebów i będziesz go karmić gałkami z ciasta. Ucz się, jak się piecze chleb, bo kiedy dorośniesz i zostaniesz żoną mojego synka, trzeba, aby miał z ciebie w domu pociechę.

— Czy odlatujesz, matko czarownicy? — zapytał potwór.

— Mam z jednym starym diabłem spotkanie, daleko stąd, na polskiej granicy, więc muszę się śpieszyć. Ty tu ich pilnuj i pomóż trochę. Nie chce ciebie za męża ta jaśnie paniuszka, boś dla niej mało piękny, choć piękniejszego na świecie całym nie ma. Od starego diabła dostanę taką maść ze zdechłych szczurów, że kiedy jej tą maścią oczy posmaruję, zakocha się w tobie bez pamięci. Hu! hu! czas na mnie, czas na mnie! Roba, daroba, ryba, taryba! Szuru buru bęc!

Janek patrzył przerażony, jak się jej straszliwy nos zamienia w krzywy, okropny dziób, ogromna głowa w głowę olbrzymiej sowy, ręce w skrzydła, a nogi porastają pierzem i w ostre krzywią się pazury.

— Jezus, Maria! — szepnął przerażony.

Sowa, usłyszawszy to, wrzasnęła przeraźliwie i zerwała się do lotu, a jej syn potwór zatoczył się, jakby ogłuszony piorunem.

— Język ci wyrwę, szczeniaku! — zakrzyknął, uciekając.

Sowa przepadła wśród mroku opadającej z nieba nocy, została tylko dziewczynka, nie mogąca promiennych swoich oczu oderwać od dzielnego chłopca.

— Kto ty jesteś? — zapytała cicho. — Mów, nie obawiaj się... Kłapouchy teraz nie powróci, bo o zmroku zapada w kamienny sen, a ten pies niewiele ma rozumu. Tylko się nie poruszaj, bo wtedy cię zagryzie.

Widać jednak, że nawet piekielny ten pies z dzikim sercem, zakrwawionym złością, ulegał urokowi jej słodyczy, bo chociaż patrzył pilnie i wciąż łypał oczyma, jednak nie warczał. Byłby zagryzł i ją, i jego, gdyby chcieli się zbliżyć do siebie, lecz pozwalał na rozmowę.

— Kto ty jesteś? — zapytała słodkim głosem dziewczynka. — Mów prędko, bo wiedźma odleciała, ale nigdy nie wiadomo, kiedy powróci. Może nie dziś, może nie jutro, ale może wrócić przed północą.

Janek zaczął jej opowiadać o śmierci swojej matki, o ciężkiej podróży przez puszcę i o napadzie potwora, i o nieszczęsnym Robaku.

— Dziwny to był pies — mówił — kochał mnie jak brata i każde moje rozumiał słowo. Zginął w mojej obronie. O, Robaku, serdeczny psie! uczciwe miałeś serce i wierne aż do ostatniego tchnienia.

Mówiąc to miał łzy na rzęsach. Dziewczynka słuchała chciwie, wzruszona tą prostą opowieścią, potem rzekła cichutko:

— A może nie zginął?

— O, dałby to Bóg. Potwór jednak z taką siłą rzucił go na skały, że pewnie biedny Robak ducha wyzionął. A czy ty mi teraz powiesz, mila panienko, kim ty jesteś i skąd się tu wzięłaś wśród tych okropnych czarowników?

— Jestem tu u nich może z pięć, a może ze sześć lat. Nazywam się Zosia, bo to pamiętam, że tak na mnie wołali.

— A kto i gdzie tak ciebie nazywał?

— Moja matka i mój ojciec, i wszyscy dobrzy ludzie, kiedy byłam malutka. Mieszkałam w wielkim mieście, w którym są trzy złote wieże, w jakimś ogromnym domu, gdzie grała muzyka i gdzie pięknie tańczyli ludzie w bogatych strojach. Razu jednego wyprowadziła mnie moja piastunka za mury tego wspaniałego miasta, abym zobaczyła kwiaty na łąkach. Biegałam wesoło i odbiegłam pewnie zbyt daleko, bo straciłam piastunkę z oczu. Zabłądziłam. Nagle ktoś mi narzucił płachtę na głowę i porwał mnie. Długo mnie nieśli, a kiedy mi ją zdjęto z głowy, ujrzałam, że jestem w tym osiedlu, w mocy strasznej czarownicy i jej syna, Goliata. Straszne przeszłam cierpienia; bili mnie i głodzili, bo wciąż płakałam i wołałam pomocy. Przestałam płakać, kiedy poznałam, że nikt mnie nie usłyszy, chyba Pan Bóg. Może to On ciebie tu przysłał, aby mi było lżej.

— A nie wiesz, słodka panienko, kim byli twoi rodzice?

— Musieli to być potężni jacyś ludzie, bo wszyscy się im kłaniali, a na mój widok uśmiechali się wszyscy. I musieli być bogaci, bo kiedy mnie porwano, miałam na sobie zieloną sukienkę, cudownie się mieniącą i naszywaną kamyczkami, z których każdy był innego koloru.

— Gdzie jest ta sukienka?

— Czarownica zdarła ją ze mnie i chowa ją w skrzyni w swojej norze. Powiedziała, że z niej uszyje moją ślubną suknię. O, ja nieszczęśliwa, Janeczku mój serdeczny! Chce mnie za mąż wydać za Goliata. Lepiej będzie, jeśli mnie ten straszny pies pożre... O, obroń mnie, obroń mnie, Janku.

— Boże miły! — zawołał Janek — oddam życie za ciebie i dam się porąbać w sztuki, lecz co ja poradzę przeciwko potężnym czarownikom. O, Robaku! czemu ciebie tu nie ma? Ale

nie płacz, Zosiu! Będę myślał nad ratunkiem, najpierw dla ciebie, potem dla siebie... Co to znaczy? Czemu ten czarny, straszny pies tak się niepokoi? Coś zwietrzył...

— Może czarownica wraca — wyznała Zosia.

Patrzyli z trwogą, jak pies podniósł się czujnie i jak czarne, ogromne widmo zaczął iść ostrożnie ku palisadzie, otaczającej sadybę.

— Muszę uciekać — krzyknęła cicho dziewczynka — bo jeśli to wraca czarownica, nieszczęsna byłaby moja godzina. Jutro będę próbowała zbliżyć się do ciebie. Spij, śpij teraz, Janeczku! Niech twoja matka czuwa nad tobą, a ja za ciebie zmówię pacierz.

— Bądź zdrowa, Zosieńko — zawołał Janek.

Zosia zginęła w mroku, a Janek zaczął rozmyślać. Czarny pies gdzieś przepadł. Noc była ciepła, letnia, z nieba padały czasem gwiazdy. Gdzieś na łąkach grały świerszcze, jakby chciały osłodzić biednemu chłopcu ciężką niewolę. Minęła godzina, a pies nie powracał; mijała już następna, kiedy w Janku serce zaśpiewało z radości: Robak był przy nim. Wiemy już, jak się tu znalazł i co sobie powiedzieli dwaj nierozdzielni towarzysze.

W Janka wstąpiła otucha. Spojrzył na niebo, na którego wschodniej stronie jasna uczyniła się szpara, jakby przez nią anioły wyglądały, czy ziemia śpi jeszcze i czy nie czas już budzić ptaki. Modlił się w duszy.

“Niech się ze mną stanie, co się ma stać, bo wiele mogę przecierpieć, jak ten mój towarzysz pies, co przed śmiercią uciekł; ale niech ta dziewczynka nie cierpi, bo jest jak kwiatek, co nie ma sił. Ocalcie ją, aniołowie niebiescy, jakby swoją siostrę, bo jest biedna bardzo i nieszczęśliwa”.

W tej chwili zaczął cichutko jakiś ptak... Noc przybladła, jak gdyby przeminęła już czarna jej rozpacz i na twarzy blady tylko pozostał smutek. Janek, zmęczony śmiertelnie, przymknął oczy, aby zasnąć choć na chwilę, gdy wtem poczuł coś szorstkiego na twarzy.

— Robak! — krzyknął.

— Tak, to ja i ledwie żywy. Pominąwszy już to, że mi potwór kości poprzetrącał, napracowałem się przed niedawnym czasem ponad psie pojęcie.

— Gadaj prędko, gadaj prędko!

Robak, nie ukrywając chępliwości, opowiedział całą historię z piekielnym psem, jak go chytrze podszedł i na hak przywiódł.

— Siedzi teraz, biedaczyna, w skalnym kociołku i rozmawia z rybami. Zasłużył na to, nie z tego powodu, że jest dziki i krwawy, co można psu przebaczyć, jeśli był źle wychowany i przebywał w nieodpowiednim towarzystwie, ale za to, że jest taki głupi. Powiadam ci, że mi wstyd było, że może na tym świecie być pies tak mało inteligentny. Pokazuję mu gwiazdy,

powiadam, że to gęsi, a ta psia jucha temu uwierzył. Gdybym mu był przez połowę nocy tłumaczył, że na moim ogonie kwitną róże, byłby także uwierzył. Za dużo miał, widać, na sobie tłuszczu, co źle wpływa na lotność wyobraźni i na dowcip... Dość że numer pierwszy z tej czarodziejkiej menażerii jest już unieszkodliwiony. A teraz trzeba zająć się następnym. Gadaj teraz wyraźnie, co się tutaj dzieje?

— Powiem ci wszystko, ale, Robaku miły, ty upadasz ze znużenia. Czy nie byłoby dobrze, abyś zaszył się gdzieś w gąszcze, pożywił się i odpoczął?

— Źle mnie sądzisz, drogi Janku — rzekł z wyrzutem Robak. — Jakże to ja mam odpoczywać, kiedy nad tobą wisi nieszczęście? Będę miał czas na odpoczynek...

— Ale przedtem zemrzesz z utrudzenia.

— To zemrę, ale nikt nie powie, że pies Robak opuścił przyjaciela w potrzebie. Dostyc o tym! Nie mam czasu na roztkliwianie się moją psią mością. Do rzeczy, do rzeczy! Gadaj, co się tu dzieje?

Janek, wiedząc, że nie poradzi na szlachetny upór, zaczął mu opowiadać wszystko; o czarownicy, która odleciała jako sowa, o Goliacie służebnym, a na samym końcu o Zosi błękitnookiej. O niej mówił z uniesieniem; powtórzył całą jej historię i zakończył ją wśród łez, opowiadając Robakowi, jak straszne jeszcze czekają ją cierpienia, kiedy zostanie żoną Goliata.

— Jak ona zostanie jego żoną, to ja się ożenię z chińską cesarzową! — rzekł Robak.

— A jakżeż my temu przeszkodzimy?

— Mój kochany — mówił poczciwy pies — jeżeli przede mną ucieka księżyc i jak zając zmyka między chmury, to dziwne by było, gdybym nie zmógł potwora, co ma ośle uszy, a co nienajlepiej świadczy o jego inteligencji.

— Tak, ale ledwie uszedłeś z życiem z jego rąk...

— To niczego nie dowodzi; napadł mnie niespodzianie, kiedy byłem głodny i zmęczony, zresztą jest on dwadzieścia razy większy ode mnie, ten zbój. Toteż nie myślę zwyciężyć go siłą; wymyślę coś takiego, że mu w pięty pójdzie. Jeżeli jestem najedzony, mam wtedy bystry umysł i mądrość mnie rozpiera.

— A gdzież to się najadłeś?

— O tym nie warto gadać. Biegałem tu i tam, chcąc się przekonać, czy zające zmydlały, ale widać, że ogryzanie kory nie wzmaga mądrości, więc się niejednemu z nich niemiła zdarzyła historia, bo biega teraz razem ze mną, trzeba przyznać, że w dobrym towarzystwie.

— Jak to z tobą?

— W moim brzuchu.

— I nie wstyd ci, Robaku, zjadać zające?

— Mój kochany, ja nie jestem cielak, co je trawę, tylko pies, co lubi mięso. Czy to moja wina? Po co my jednak poruszamy te niemiłe sprawy. Kiedy wstanie nasz wróci, Goliat?

— Zapewne niedługo.

— Dobrze, a kiedy wróci czarownica?

— Tego nikt nie wie.

— Aha! Jeszcze jedno... Dziewczyna ma upiec chleb?

— Tak!

— Widziałem, jak to robiła twoja matka. Bardzo to zajmujące... Wrzucała coś takiego do dzieży, że rozrobiona wodą mąka straszliwie rosła, tak jak krowa, kiedy się żarłocznie naje mokrej koniczyny... Tak, to bardzo ciekawe... Nie gadaj teraz do mnie, bo przez pewien czas będę głęboko rozmyślał.

— Już jestem niemy!

Robak wpadł w głęboką zadumę, jak w studnię. Długo leżał spokojnie, po czym zaczął się kręcić, tłuc ogonem o ziemię, wreszcie wywalił czerwony ozór.

— Widać, że to bardzo pomaga przy myśleniu — mówił sam do siebie Janek, któremu mimo piekielnego znużenia raźniej uczyniło się na duszy.

Na niebie porobiły się już jasne smugi, a ptaki zaczęły obwieszczać narodziny nowego dnia.

— Mam! — wrzasnął przyciszonym głosem Robak.

— Co masz? — pytał Janek gorączkowo.

— Powiem ci to do ucha, bo może tu w pobliżu być jakieś plugawe stworzenie na usługach czarowników. Słuchaj pilnie...

Przyczołgał się ku Jankowi i długo mu szeptał coś do ucha, czego Janek słuchał zachłannie.

— Dobrze będzie? — zapytał wreszcie.

— Robaku! — szepnął Janek — ty nie powinieneś być psem, ty powinieneś być...

— Nie kończ! Jestem zadowolony z mojego pochodzenia. Zapamiętaj więc wszystko, powtórz Zosi najdokładniej, a może się uda.

— O, Boże — szeptał szybko Janek — bylebym ją tylko zobaczył, zanim Goliat się obudzi.

— Nic łatwiejszego — rzekł Robak — mogę ją tu przyprowadzić, nie wiem tylko, czy to wypada składać damom wizyty o tak wczesnej porze i czy się mnie nie przestraszy?

— Ciebie? Któż by się przestraszył twoich pocziwych oczu!

— Oczy to może mam i pocziwe, tylko minę jakoś mam obwiesia. Gdzie ona śpi?

— Poszła tam na prawo, ku tej szopie. Idź, psie najukochańszy, uważaj tylko, abyś się nie natknął na potwora.

— Niech on uważa, aby się nie natknął na mnie — mruczał Robak, zdążając ostrożnie ku schronieniu dziewczynki.

W Janku serce tłukło się niespokojnie, każda chwila wydawała mu się wiekiem. Wypatrywał oczy w szarości świtu, aż wreszcie się uśmiechnął, szczęśliwy. Z ręką opartą na głowie Robaka biegła Zosia.

— Zosiu! — wykrzyknął Janek — są radosne nowiny.

Szybko opowiedział jej o wielkich czynach Robaka i o uwięzieniu czarnego psa; Robak dawał Jankowi znaki, aby go zbyt nie psuto pochwałami, a dziewczynka słuchała tego jak bajki; patrzyła na Robaka z rozrzewnieniem, po czym, nie mogąc powstrzymać wybuchu radości, uklękła, zarzuciła Robakowi obie ręce na szyję i ucałowała pocziwą jego mordę. Robak stał przez chwilę oszołomiony, oczy mu pojaśniały, spojrzał na Janka z wyrazem ogromnego szczęścia, ale rzekł niby ponuro:

— Ach, te panienki! fiołki w głowie i tyle...

Psia jego dusza tak była szczęśliwa, jak nigdy jeszcze.

“Nie ma co — myślał — trzeba będzie serce podzielić na połowę. Urwipoleć jestem i zdrajca, bo czuję, że dla Janka zginąłbym trzy razy, ale dla tego nieznośnego dziewczyniska uczyniłbym to chętnie najmniej siedem razy”.

Potem dodał głośno:

— My tu cacy—cacy, a dzień się robi. Powiedz panience, cośmy uradzili.

— Uklęknij przy mnie, Zosiu — rzekł Janek — powiem ci, co wymyśliła ta kochana psianoga.

— Tylko bez zbytnej konfidencji! — zawołał wesoło Robak.

Długo Janek tłumaczył Zosi plan Robaka. Dziewczyna słuchała uważnie, mocno jednak zatroskana:

— Boję się — rzekła — czy potrafię tak udawać.

— Spójrz na mnie, śliczna panienko — wtrącił Robak swojo trzy grosze — to nie taka musi być sztuka, jeśli ja potrafię udawać filozofa.

— Nie umiem kłamać — mówiła dziewczynka.

— Ja też! — rzekł Robak, mrugając w stronę chłopca — chociaż mi się to czasem udawało, ale zawsze robiłem to z wielkim bólem serca.

— Ha! może spróbuję... O, Boże! — krzyknęła nagle.

Srogi ryk ozwał się w pobliżu.

— Jeść! jeść! — grzmiało w powietrzu.

— Goliat się obudził! — krzyknął Janek.

— Taki nic mądrzejszego nie wymyśli — dodał Robak. — Uciekaj, panienko! Ja się schowam wśród rupieci.

Po chwili zjawił się w obejściu zaspany jeszcze potwór; spojrzął dookoła plugawym wzrokiem; przyjrzał się Jankowi i jego więzom, nagle jednak zaniepokoił się, nie widząc czarnego psa.

— Czarny diable! — wrzasnął — gdzie jesteś, czarny diable?

— Łapie ryby! — mruknął wesoło Robak.

— Język mu wydrę i kości mu połamię! — krzyczał Goliat.

W tej chwili ujrzał, że Zosia wytacza opasłą dzieżę z wielkim trudem, był to bowiem ciężar ponad jej siły.

— Co będziesz robić, głupia dziewczyno? — zapytał potwór.

— Rozczynię chleb, bo mi tak kazała twoja matka.

— A mnie dasz prędko jeść?

— Kiedy rozkażesz, panie!

— Daj mi za chwilę nogę tego konia, którego zamordowałem niedawno, ogryzę ją sobie na śniadanie, a tymczasem naostrzę zęby.

Na podwórku stało toczydło do ostrzenia żelaza; potwór wprawił nogą w ruch okrągły kamień, paszczę otworzył szeroko i ostrzył zęby na kamieniu tak, że skry z nich leciały.

Dziewczyna tymczasem przygotowała wszystko do wypieku chleba i właśnie wyniosła z pieczary ogromną grudę drożdży, którą by można zacząć sto tysięcy chlebów. Ujrzał to potwór i pyta:

— Co to takiego?

— Jest to smakołyk wyborowy, który się dodaje do chleba. Szkoda go dla takiego obieżyswiata, jak ten chłopiec, bo kiedy to zje, jeszcze piękniejszym się stanie.

— To on jest piękny, ten pokurcz?

— Bardzo piękny! — rzekła Zosia z uniesieniem.

— A ja czy jestem też piękny?

— Ty, panie, jesteś tak piękny, że chętnie zostałąbym twoją żoną, tylko uszy twoje nie są takie, jakimi być powinny. Gdybyś miał uszy takie, jak ten chłopiec, byłbyś najurodziwszym młodzieńcem na świecie i każda córka królewska wzięłaby ciebie za męża.

— Ejże! — zdumiał się Goliat. — Bardzo to rozsądnie powiedziałaś. A gdybym to zjadł, co trzymasz w ręku, czy stałbym się piękniejszy?

— O, tak! Gdybyś to zjadł od razu i popił wielką ilością wody, i położył się brzuchem na piecu, stałbyś się w krótkim czasie tak pięknym, że słońce zgasłoby przy tobie.

— Chciałabyś tego?

— Bardzo bym tego chciała, bo pragnę, aby mój mąż był najpiękniejszym na świecie.

— Och! och! — wrzasnął potwór. — Daj mi to czym prędzej.

— O, nie, panie! muszę z rozkazu twojej matki dać to temu chłopcu.

— Jemu? Niech gryzie kamienie, a nie takie smakołyki. Dawaj to czym prędzej, bo chcę być pięknym.

Wyrwał jej z rąk drożdże i połknął, kłapnąwszy kłami z wielkiego ukontentowania.

— Wody, wody, jak najwięcej wody! — ryknął.

Chwycił beczkę deszczówki, przechylił ją i wypił do ostatniej kropli.

— Czy piec gorący?

— Tak, panie! Połóż się na nim czym prędzej, aby czar działał.

Potwór zniknął w głębi lepianki. Oni czekali długo, nie śmiejąc wyrzec ani słowa. Mijały godziny. Wreszcie z lepianki zaczęły się dobywać straszne jęki i narzekania, a po chwili wyczołgał się z niej Goliat, lecz jakże zmieniony! Przed nim toczył się brzuch, potwornie wydęty, i rósł coraz bardziej.

Robak wyjrzał z ukrycia i kiwnął z uznaniem głową.

— Bardzo wypiękniał, w istocie! — zaśmiał się cicho.

— Oj, oj, oj! — stękał Goliat. — Co się ze mną dzieje? Oj, nie wytrzymam! Gwałtu! rety! Przekłeta dziewczyno! Oj, oj!

Nagle, jakby ktoś uderzył w straszliwy bęben, ozwał się huk przeraźliwy: to imci Goliat, nadziany drożdżami, pękł z takim trzaskiem, że zdawało się — ziemia zadrżała; rozleciał się na kawałeczki, które spadały daleko poza obejściem.

Zosia trzęsa się z przestachu jak liść; Janek zamknął oczy, myśląc, że się wszystko wali. Tylko Robak, wylazłszy z ukrycia, obwieścił triumfalnie:

— Melduję posłusznie, że drugi numer z menażerii rozpuknął się z wielkiej złości.

IV

Zosia tak była przejęta tym, co się stało, i tak zdumiona nagłym zniknięciem Goliata, że patrzyła dokoła siebie szeroko otwartymi oczyma, jak gdyby nie wiedziała ani gdzie się znajduje, ani co się z nią dzieje. Toteż jakby z wielkiego oddalenia usłyszała głos Robaka, który, ogłosiwszy zwycięstwo, mówił:

— Sądzę, panienko, że nie zrobiłabyś Jankowi zbyt wielkiej przykrości, uwolniwszy go z więzów. Zrobiłbym to sam, ale samymi zębami robi się takie rzeczy trudniej.

— Och, tak! — zawołała dziewczyna, wracając do przytomności.

Rozwiązała szybko sznury na rękach i nogach Janka i pomogła mu stanąć na nogach.

Chłopak chwiał się i słaniał, wciąż się więc o nią opierał.

— Dziękuję ci, droga siostrzyczko — rzekł — ale ledwie stoję na nogach.

— Widzę — wtrącił wesoło Robak — oczywistą moją wyższość w tym wypadku, bo łatwiej utrzymać się na czterech nogach niż na dwóch. Zawsze to co pies to pies!

Zaczęli się śmiać i z radości, i z wielkiego szczęścia.

— Uciekajmy — rzekł Janek — uciekajmy czym prędzej.

— O, tak — zawołała dziewczyna — uciekajmy!

— Szczęśliwej drogi! — rzekł Robak — bo ja tu zostanę.

Spojrzeli na niego ze zdumieniem.

— Chcesz nas opuścić?

— Bynajmniej, ja nie jestem rozsądkiem, który tak łatwo opuszcza człowieka — odrzekł Robak.

— Taki mądry pies, a głupstwa gada — rozgniewał się Janek. — Szkoda każdej chwili, a on marudzi. Czy ci niemiłe życie? Czy chcesz, aby czarownica, powróciwszy, pomordowała nas wszystkich za to, co się stało?

— Bardzo nie lubię być zamordowanym — odrzekł Robak — ale właśnie będę zamordowany, jeśli pójdę z wami.

— On oszalał z radości! — krzyknął Janek.

— Ale dlaczego chcesz zostać, Robaczku? — zapytała słodkim głosem dziewczyna.

— Na mądre pytanie należy mądrze odpowiedzieć. Otóż tak: uciekniemy — dobrze! — ale przed kim uciekniemy? — przed czarownicą? Sowa szybko lata i bezgłośnie, dogoni nas, kiedy zechce, i jakimiś czarami zamęczy nas na śmierć. Będzie nas gonić na koniec świata, aż wreszcie dogoni, kiedy popadamy ze zmęczenia.

— On jest pełny mądrości! zawołała Zosia,

— Może dlatego tak chętnie pchły na mnie siadają — mruknął Robak.

— Przebacz mi, przyjacielu drogi — rzekł Janek — że się na ciebie rozgniewałem. Daj łapę na zgodę!

— Przednią czy tylną? — zaśmiał się Robak. — Zgoda, niech będzie zgoda!

— Więc co ty radzisz uczynić?

— Co uczynić, to ja wiem, tylko nie wiem, jak? Trzeba zostać i unieszkodliwić czarownicę, aby nam życia nie zatrzymała. W tym rzecz.

— Ale jak to zrobić?

— Może — rzekła nieśmiało Zosia — pan Robak tak robi, żeby się najadła drożdży i żeby...

— O, słodka panienko — przerwał jej Robak — gdybym nie był taki przez pół zdechły, tobym na cześć twoją odtańczył starodawny taniec, tańczony w mojej rodzinie w wyjątkowych okazjach. Dobrze ty jesteś dziecko, ale nie znasz się na chytrościach. Z czarownicą taka sztuka się nie uda! Goliata można było ocyganić, bo to wielki był bęcwał, mocny, ale głupi, ale jego mamusia nie jest w ciemności. Ale już za to samo, że biednego kundla nazwałaś panem, coś muszę wymyśleć. Jestem ja wprawdzie taki pan, z którego sierść oblażała, ale zawsze miło to usłyszeć. Powiedz mi, kiedy ona wróci?

— Ja myślę, że o zmroku, bo sowa w dzień nie widzi.

— Do nocy jeszcze daleko — mruczał Robak, srodze zamyślony. — Więc przede wszystkim trzeba wypocząć. Wy posilcie się, moje dzieci, i idźcie spać, a ja tu zostanę na straży. Kiedy będzie trzeba, to was obudzę.

— A ty, Robaczku?

— Ja się też zdrzemnę, ale tylko lewym okiem, a prawym będę szukał sposobu na czarownicę.

— Śmieszny pies! — rzekł Janek idąc ku szopie.

— Kochany, drogi pies! — dodała Zosia.

Robak, kiedy został sam, obiegł wszystkie kąty, wszędzie zajrzał i w każdą szparę wetknął ciekawy swój nos. Potem, mocno zafrasowany, położył się w cieniu, czujny na każdy szelest, i zapadł w zadumę. Prędko wypatrzyły go muchy, największa zaś nie dawała mu spokoju, upodobawszy sobie jego nos. Robak. kłapał zębami i krzyknął:

— Odleć, głupia! Czy nie widzisz, że głęboko rozmyślałem?

Sto pomysłów narodziło się w jego wspaniałym rozumie, ale żaden nie wydał mu się dobry; wszystkie były bardzo trudne do przeprowadzenia, bo czarownica była straszliwie

chytra i długim swoim nosem mogła zdradę wywęszyć o milę. Robak uznał, że trzeba ją schwytać w potrzask sposobem jak najprostszym i tak szybkim, aby nie miała czasu zrozumieć podstęp. Dzień się już miał ku schyłkowi, a on jeszcze myślał. Dzieci dawno się już obudziły, doskonale wypoczęte, i na palcach zbliżyły się do tego wielkiego filozofa, który udawał, że nic go w tej chwili nie obchodzi na całym świecie, ale od czasu do czasu patrzył z niezmierną miłością na dziewczynkę, co z kolei na niego z takim samym patrzyła podziwem. Wreszcie podniósł się ze straszliwie mądrą miną i rzekł:

— Można spróbować!

Podszedł ku budzie, która do niedawna była mieszkaniem czarnego diabła; obiegnął ją kilkakrotnie, jakby badał, czy jest dość mocna; była to buda z grubych zbita desek, opatrzona drzwiami ze skoblem.

Dzieci chodziły za nim, przyglądając mu się w milczeniu.

— Czy możecie ją wysunąć na środek podwórza? — zapytał.

Dzieci natężyły wszystkie siły i po długiej pracy spełniły polecenie.

— A teraz ty, Janku, oderwij od tylnej ściany jedną deskę, ale tak, aby się u dołu trzymała na gwoździach.

Janek pracował w pocie czoła i udało mu się wreszcie zrobić w tylnej ścianie otwór taki, że chudy pies mógł się tamtędy przecisnąć.

— A teraz? — zapytał.

— Teraz — mówił Robak cicho — zrobimy tak: otworzę szeroko drzwi budy, za którymi ukryje się panienka. Czy nie boisz się, panienko?

— Z wami niczego się nie boję!

— I słusznie, bo my się boimy za wszystkich troje. Oto, niech panienka uważa! Najpierw wskoczę ja do budy, a za mną wpadnie czarownica.

— A skąd pan Robak wie, że wpadnie?

— Wyczytałem to w gwiazdach, kiedy zajęty byłem myśleniem. Ja myślę, że ona wpadnie. Wtedy niech panienka zatrzaśnie drzwi, założy skobel na kółko i zatknie kołkiem. Czy panienka rozumiała?

— O, tak!

— Cieszy mnie — rzekł Robak — że tyle oleju mądrości jest w takiej złotej i małej główce.

— O, złoty Robaczku! — zawołała Zosia uradowana.

— Oby go tylko sowa nie zjadła — mruknął Robak. — Teraz kolej na ciebie, Janku.

— Co mam zrobić?

— Masz się ukryć za budą i być w pogotowiu; kiedy ja wyskoczę przez otwór, podnieś szybko deskę i przygotowanym zawczasu kamieniem wbij gwoździe. Sowa będzie w środku... Uważaj tylko, abyś w zbytnim pośpiechu i w zbytniej gorliwości nie zamknął mnie z nią razem, bo doszłoby pomiędzy sową i mną do gwałtownej rozmowy, czego, jako pies spokojny, bardzo nie lubię. Zrozumieliście oboje?

— Zrozumieliśmy... Wybornie to obmyśliłeś! Musi się udać, jeśli sowa tylko wlezie do budy.

— Będę ją serdecznie do tego zachęcał — rzekł Robak. — Ale teraz cicho i ani mru—mru. Noc zapada... Ukryjcie się, a ja odchodzę.

— Dokąd? — zapytali oboje z niepokojem.

— Lubię wieczorne przechadzki... Cicho!... już mnie nie ma. Zdechł pies!

Odbiegł i gdzieś przepadł. Minęła godzina i noc już była wielka. Dzieci czekały w gorączce i w podnieceniu, ukryte jedno z przodu, drugie z tyłu budy, i wypatrywały oczy. Oswoivszy je z ciemnością, ujrzały w pewnej chwili, jak coś ciężkiego bezgłośnie przecięło powietrze. Sowa przyleciała. Zaraz się więc coś zacznie. Lecz gdzie Robak? gdzie Robak?

Straszna sowa przysiadła na dachu szopy i zapiszczała:

— Goliacie, synku Goliacie? Obudź się i otwórz!

— Dobry wieczór szanownej sowie! — ozwał się głos Robaka.

Sowie zamigotały zielono oczy i nastroszyły się na niej pióra.

— Kto mnie woła? — krzyknęła. — Kto ty jesteś?

— Jestem pociotkiem czarnego diabła!

— A gdzie czarny diabeł?

— Łowi ryby!

— Hu! hu! ty jesteś podły pies. Gdzie chłopiec? gdzie dziewczyna? — krzyczała sowa niespokojnie.

— Kazali ci się kłaniać i poszli na tańce.

— Jeżeli nie przestaniesz żartować, wydziobię ci oczy i wydrę ci serce. Gdzie jest mój syn, Goliat?

— Trudno powiedzieć; Goliata nie ma w jednym miejscu, bo się posiał po całej okolicy.

— Śmierć tobie, śmierć tobie! — wrzasnęła sowa.

— Tak z daleka to będzie trudno — mówił urągliwie Robak. — Gdybyś jednak raczyła zejść z dachu, tobym ci wydarł kawałek ogona. Ty mnie serce, a ja tobie ogon.

Sowa, przywiedziona do szału, spadła na niego nagle, jak kula, ale rozdarła tylko pazurami ziemię, Robak zaś, kierując się w stronę budy, grzmiał na całą okolicę:

— Jesteś wielka czarownica, ale musisz być zezowata, bo kiepsko w nocy widzisz. Ja tu jestem!

— Widzę ciebie i twoją śmierć! — wrzeszczała wiedźma i znowu usiłowała spaść na jego grzbiet.

— Zginiesz z głodu na takim kiepskim polowaniu! — urągał Robak.

— Trup! trup! — krzyknęła ona i rzuciła się na niego po raz trzeci.

Robak ledwie się tym razem wywinął, więc schowawszy ogon pod siebie, jednym susem wpadł do budy.

— Hu! hu! — zaśmiała się sowa piekielnym śmiechem. — Stamtąd już nie wyjdiesz.

— Oj, oj, oj! zginąłem! łaski! łaski! — ozwał się głos z budy.

Sowa, obłąkana z wściekłości, na nic nie zważając, buchnęła całym rozpędem do budy.

— Zamykać! — wrzasnął Robak, już z drugiej strony.

Dziewczyna zatrzasnęła drzwi, Janek już wbijał kamieniem gwoździe.

— Siedzi? — pytał, ciężko dysząc, Robak.

— Jak kazaleś! — zawołał wzruszony Janek. — Ależ ona tam wrzeszczy!

— Prędko, prędko! — wydawał Robak rozkazy. — Przywlecście tu, co można, szukajcie kamieni, otoczcie budę wałem. Ona się tam zaraz odmieni i zechce ją rozwalić. Prędko, prędko!

Dzieci pracowały jak w ukropie i niedługo buda była aż pod daszek zakryta, czym się tylko dało, a jednak słyhać było, jak się tam wiedźma ciska i szaleje w obłądnej złości.

— Może się ona tam męczy? — rzekła cicho dziewczynka.

— Trudno — rzekł smutno Janek — nie ma innej rady. Słuszna kara spotkała ją za to złe, które czyniła ludziom. Nic po niej na świecie... Czy nie tak, Robaku?

Robak nie odpowiedział, bo odpoczywał. Zziąjany, drżał na całym ciele, przeszedłszy chwilę wielkiej trwogi i teraz dopiero rozumiejąc, jak bardzo bliski był śmierci.

Podniósł się wreszcie i rzekł:

— Chodźmy stąd! To niemiłe miejsce... Położymy się spać daleko stąd, pod drzewami.

— Chodźmy! — rzekły dzieci.

Janek ujął rękę dziewczyny i już odeszli sporo drogi, kiedy nagle Zosia krzyknęła:

— Muszę tam wrócić na chwilę!

— Po co? — zapytał zdumiony Janek.

— Tam została moja zielona sukienka!

— Cóż to za nowa historia? — zdumiał się Robak.

Janek rzekł:

— Widzisz, Robaku, czarownica ściągnęła z niej cudowną sukienkę, którą Zosia musi mieć z powrotem.

— Ach, te babskie fatałaszk! — mruknął Robak, udając niezadowolenie. — No, dobrze, już dobrze, idźcie po tę sukienkę... Ja bym nigdy nie wracał po moje kudły.

V

Wędrowali długo, długo, poprzez lasy, poprzez knieje, poprzez łąki, poprzez pola, poprzez wody, poprzez rzeki. Gdyby wszystko opowiadać, co im wtedy się zdarzyło, sto dni trzeba by od rana gadać ciągiem do wieczora, od wieczora znów do rana. Dobrzy się dziwili ludzie, patrząc na te biedne dzieci, co obdarte, wynędzniałe, lecz z oczyma promiennymi, idą, idą nieustannie i gadają, jak z człowiekiem, z psem, co oczy ma poczciwe, a na sobie mięsa tyle, żeby tego nie starczyło jednej wronie na śniadanie.

Ale że się wszystko w życiu kiedyś skończy, źle czy dobrze, posłuchajcie, posłuchajcie, co się z nimi trojgiem stało.

Zosia niosła w zawiniątku śliczną sukieneczkę dziecienną i pilnowała jej troskliwie. Janek żywił całą gromadkę, a Robak poza tym na własną rękę szukał czegoś do zjedzenia. Markotno mu było, że wędrują wśród poczciwych ludzi, krajem gęsto zamieszkałym, gdzie nikt nie czynił krzywdy, lecz czasem z serca całego pomógł.

— Jakie to nudne życie — mówił — czarownika ani na lekarstwo, a sowy w tym spokojnym kraju nie zdradzają ochoty do kłótni.

— Żal ci tego, co było? Przecie to było straszne! — rzekł Janek.

— Może i było straszne, ale jakże miło było pokonać i strach, i niebezpieczeństwo. A teraz co? Chodzimy jak dziady, a wszyscy, zamiast drżeć przed nami z trwogi, litują się nad nami. Jesteśmy więksi panowie od innych, a oni nas żywią. Nie lubię żyć na cudzy koszt. Nie podoba mi się zresztą ten kraj; ludzie jeszcze jako tako, tylko ptactwo domowe jest głupie i krzykliwe.

Janek mrugnął na Zosię i niby niewinnie pyta:

— A czemuż to, miły Robaczkę?

— Czy ja wiem, czemu? Podchodzę wczoraj pod wieczór do jakiejś tłustej kaczki, bo chciałem... czego to ja od niej chciałem?... aha! chciałem zapytać o drogę i widać, że źle skoczyłem, to jest — co też ja gadam! — widać, zbyt gwałtownie o to ją zapytałem, bo głupia kaczka, zamiast grzecznie odpowiedzieć, narobiła takiego wrzasku i tyle narobiła rwetesu, że się ludzie zbiegli, a ja musiałem uciekać. Głupszą od kaczki może być tylko kura.

— A kury pytałeś o drogę? — zaśmiał się Janek.

— Gdzież tam; kura, kiedy mnie zobaczy, urządza w tej chwili takie gdakanie, jakbym ja był jajkiem, które ona zniosła. Po co w ogóle takie pierzaste tałałajstwo ma głos? Chyba po to, żeby uczciwy pies chodził głodny.

— Może Bóg. da, że już niedługo, Robaku najdroższy — rzekła Zosia. — Kiedy znajdziemy miasto, co ma trzy złote wieże, gdzie ja się urodziłam, najesz się tak, że syty będziesz za wszystkie czasy.

— Byle nie drożdży... — mruknął Robak.

— O, nie! będziesz jadł ananasy i pił ptasie mleko.

— Nie wiem, co to za rarytas, szczególnie nie wierzę w to ptasie mleko, ale mniejsza o to. Najgorzej z tym, że może tego miasta nigdy nie znajdziemy.

— O, Robaku! Czemu mi zakrwawiasz serce?

Robak podskoczył jak oparzony.

— Ja tobie, panienko? Wolałbym zjeść żarzący się węgiel, wolałbym sobie złamać na kości najlepszy ząb... Przepraszam cię, serdecznie cię przepraszam. Zawsze byłem podłym kundlem, ale teraz już jestem wstrętny i ohydny; jeśli mi nie przebaczysz, to się utopię albo w najbliższym miasteczku pójdę do rzeźnika aby ze mnie zrobił kielbasę. Nie jestem tego wart, że żyję; niech mnie pchły zagryzą, niech mnie...

— Dość! dość! — wołała, zataczając się od śmiechu dziewczyna. — Jesteś najcudowniejszym psem na bożym świecie. Kocham cię, Robaku, i nigdy nie opuszczę.

— Nawet gdybyś to zrobiła, panienko — rzekł wesoło Robak — toby ci się nie udało, bo ja bym poszedł za tobą.

— Jak to, i opuściłbyś Janka?

— To też by się na nic zdało, bo i on by poszedł za tobą na drugi koniec świata.

Zosia spojrzała na Janka, który się bardzo zaczerwienił, i rzekła cicho:

— Zdaje się, że nas troje już nikt i nigdy nie rozłączy.

— Amen! — westchnął Janek.

Robak nic nie rzekł, tylko rozmiłowanym wzrokiem wodził za swoją ukochaną panienką.

Tak sobie gadając, wędrowali ku zachodowi. Coraz to więcej spotykali miast, więc wciąż w nich rosła nadzieja, że kiedyś może ujrzą to, nad którym trzy złote wznoszą się wieże.

Stało się to tak niespodzianie jednego poranka, że z wielkiego szczęścia słowa nie mogli przemówić. Nocowali w gęstym lasku, a kiedy o świtaniu wyszli leśną drożyną na wzgórze, ujrzeni w dolinie miasto ogromne, obwiedzione wałami, a nad nim trzy złote wieże tak w słońcu promieniejące, że bez zmrużenia powiek patrzeć na nie nie było można.

Zosia patrzyła długo, potem uklękła, ucałowała ziemię rodzinną i ze łzami w jasnych oczętach długo się modliła. Janek patrzył z rozrzewnieniem, a Robak z wielkiego zachwytu

przysiadł na zadzie, pysk rozdziawił, jak miejską bramę, i wywalił ozór, jak chorągiew. Po długiej chwili milczenia rzekła Zosia:

— Poznają miasto, poznają trzy wieże, poznają nawet tę łąkę, skąd mnie porwano, jedno mnie tylko bardzo dziwi: nigdy nie było tu rzeki, a teraz wypływa ona z głębi miasta i u stóp góry w jezioro się rozlewa. O, Boże, czyż nie jest to miasto moje? Skąd ta rzeka, skąd ta rzeka?

Janek nie umiał znaleźć odpowiedzi, za to Robak rzekł:

— Trzeba by kogo zapytać.

— Ale kogo? Nikogo nie widać w pobliżu.

— Ja jednak widzę takiego, z którym się prędko dogadam.

Skoczył przed siebie i pognął jak strzała, dojrzał bowiem w odległości psa. Widać, że prędko zawarli znajomość i prędko doszli do porozumienia, po niedługim bowiem czasie Robak powrócił z dziwną miną.

— I co? i co? — pytała gorączkowo Zosia.

Robak odrzekł:

— Jeśli ten pies nie jest niespełna rozumu, to rzecz całą można wyjaśnić w sposób nieco dziwny, ale rozczulający. Otóż ten pies, który nosi dziwne imię Terefere, twierdzi, że w istocie nigdy tu rzeki nie było, a zjawiała się przed niewielu laty z dziwnego powodu; podobno wilki pożarły królową z tego miasta, którą wszyscy tak kochali, że po jej stracie tak wszyscy zaczęli płakać, że z tych łez popłynęła rzeka, i wciąż jeszcze płaczą, bo inaczej przecie to by ta słona rzeka wyschła.

— O Boże! — szepnęła Zosia.

Janek zmarszczył czoło, jakby głęboko nad czymś rozmyślając, po czym rzekł:

— Czy ty nie łcesz, Robaku?

— Jeżeli jest w tym jakie łgarstwo, to nałgał kuzyn Terefere.

— Mówił, że królową zjadły wilki?

— Nie tylko tak mówił, ale wyrażał się o wilkach z pogardą.

Janek znowu długo rozmyślał, po czym zwróciwszy się do Zosi rzekł radośnie:

— Chodźmy do miasta, panienko Zofio!

Zosia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dlaczego mówisz do mnie tak uroczyście, Janeczku?

Janek nie odrzekł, tylko uśmiechnął się dziwnie. Zaczęli schodzić ku miastu, a Robak, biegnąc w tyle, rozprawiał sam ze sobą:

“Zdaje mi się, że się historia wyjaśnia, a w końcu z tego wszystkiego wyniknie, że największym bęcwałem na świecie jest niejaki Robak. Gdybym miał w moim okrągłym łbie choć odrobinę dowcipu, powinienem z tego, co dziewczynka opowiadała, wszystko wykombinować. Zdaje się jednak, że mi rozum zagotował się na słońcu. Starzejesz się, kundlu! Widziałeś zieloną sukienkę, naszywaną czymś takim, co się świeci, słyszałeś o wielkim mieście i o złotych wieżach, i co z tego? Czy czarownica porywałaby zwyczajne dziecko? Teraz to jesteś mądry i zaczynasz wszystko rozumieć, ale to nie sztuka prorokować z tego, co się stało, trzeba umieć prorokować przed tym, zanim się stało. Ależ tu płakali, o rety! Widziałem, jak ludzie płakali, ale żeby z tego zrobiło się jezioro, to pierwszy raz widzę. Czy to dziwne? Za taką Zosią to bym płakał sto lat i jeszcze bym się nie uspokoił. Dziewczynka najdroższa, moje cudo promieniste! Serduszko ma najlepsze na całym świecie, a głos jak ptaszek. Mnie, paskudnego kundla, tuliła do siebie i ucałowała mój wyszczekany pysk. O, jak to biegnie, jak nóżęta rani o kamienie! A ja jej pomoc nie mogę, zanieść jej nie mogę... Głupi to zawód być psem... Ale już ci niedługo dobrze będzie, słodka panienko... Kiedy ujrzę, że już jesteś bezpieczna, to sobie spokojnie pójde i gdzieś skapieję... Co tam po mnie?... Ale tobie niech będzie najlepiej na świecie... Tyle za tobą wylali łez... Coś mi się jednak widzi, że ta rzeka za chwilę wzbierze, bo i ja sobie beknę z radości... Daj spokój, Robaku, bo będzie powódź... Masz zbyt czułe serce i zbyt kochasz to maleństwo... Nie płacz, mówię ci, kundlu, bo cię ugryzę w ogon. Albo wreszcie, pal cię sześć! Płacz, byle krótko i byle nikt nie widział... bo i tak już źle gadają o psim rodzie.

Ponieważ Robak rozmyślał powoli, z trudem dobierając słów, nie zauważył nawet, kiedy stanęli u miejskiej bramy. Stał przy niej na straży dryblas ogromny, który się zanosił od płaczu. Widać, że od dawna to robił, bo halabarda była pokryta rdzą od nadmiernej wilgoci. Ujrzawszy młodych włóczędów, przestał szlochać na chwilę i głosem jęklwym rzecze:

— Jak możecie zbliżyć się do tego miasta i nie płakać!

— Chętnie to uczynimy, rycerzu — rzekł Janek — ale dotąd nie mamy powodu do tak srogiej żalości, która tobie łzy wyciska.

— Jakie nieszczęście spotkało cię, waleczny mężu — zapytała słodkim głosikiem dziewczynka — że takie serdeczne wylewasz łzy?

— Będę tak płakał do śmierci! — jęknął rycerz głosem tak zbolałym, że aż Robak stęknął. — Czyż nie wiecie, co się stało? Ale skąd wy to możecie wiedzieć, łapserdaki! Płacze nasz król, płacze nasza królowa, płaczą ministrowie, płacze rycerstwo, starzy i młodzi, biedni i bogaci, bo wilki zjadły królową naszą, perłę najcudowniejszą, światłość naszych oczu, co

kiedy spojrzała, to się jasno czyniło na świecie, a kiedy się uśmiechnęła, chorzy zdrowieli. O, o, o!

— Nie jęcz tak, dostojny panie, bo już mamy łzy w oczach i serce się nam kraje — rzekł Janek. — Ale czy możesz nam powiedzieć, jak. było na imię tej dziwnej królownie?

— Jeśli je wypowiem — biadał rycerz — to mi serce pęknie, ale lepiej, aby się tak stało. Nazywała się Zosia.

Dziewczynka, słysząc to, pobladła. Janek podniósł ręce w górę, a Robak aż przysiadł na zadzie.

Wtedy Janek rzekł z wielką w głosie powagą:

— Rycerzu! prowadź nas czym prędzej do jegomości króla, albowiem wielkie mu przynosimy nowiny.

— O, tak! — zawołała Zosia.

— Chyba was pokąsał ten chudy pies — odrzekł z gniewem rycerz — jeśli myślicie, że takich oberwańców można by pokazać królowi. A nawet gdyby sam król na to pozwolił, nie moglibyście dostać się do pałacu, tylko na łodzi, nasz król bowiem tak bardzo płakał w ostatnich czasach, że zupełnie zalało dojście do pałacu. Odejdźcie, skądście przyszli. Zapłaczcie nad Rzeką Łez i odejdźcie w smutku.

— Nie wpuścisz nas?

— Nigdy was nie wpuszczę!

— Co robić? — szepnął Janek do Zosi.

Robak od razu znalazł radę.

— Widzę — rzekł — że temu jegomości z żelaznym garnkiem na głowie rozum ugotował się w tym garnku jak kapusta. Nie wpuści nas i koniec, ale gdyby mu tak pokazać te zielone fatalaszki...

— Ach, ach! — zawołała Zosia, szybko rozwijając sukienkę.

Rycerz patrzył przez łzy, a ujrawszy perłami i drogimi kamieniami naszywaną sukienkę wypuścił z rąk halabardę i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Skąd to masz, dziewczyno?

— To moja sukienka — odrzekła Zosia.

— Ta panienska nazywa się Zosia i z tego pochodzi miasta! — dodał Janek.

— Ja mogę poświadczyć! — dodał Robak.

Rycerza napadł jakiś obłąd, bo podskoczył w górę, płakał i śmiał się równocześnie, wydawał okrzyki ogromne, po czym uderzył w dzwon, wśród straszliwego wrzasku.

— Ależ go wzięło! — mruknął Robak.

Po chwili zaczęli się zbiegać przerażeni ludzie i rycerstwo z murów. Ujrzawszy śliczną dziewczynkę, śmiejącą się cudnie, choć oczy promieniste i błękitne były od łez wilgotne, trzymającą zieloną sukienkę, którą wszyscy znali, podnieśli wrzask tak niezmierny, że z murów zaczęły się sypać kamienie, a Rzeka Łez wystąpiła z brzegów.

— Królowno nasza, czy to ty? Więc Bóg cię zachował?

Nie minęła długa chwila, a całe miasto było na nogach. Nikt nie zdołałby opisać, co się w nim działo. Ludzie padali sobie w objęcia, całowali się wrogowie zawzięci. Uderzono w dzwony. Otoczono naszą gromadkę i prowadzono w triumfie.

Jeden Robak okazywał niepokój.

— Bardzo to wszystko ładnie — mówił sobie — ale z wielkiej radości połamię mi nogi. Ostrożnie, ostrożnie! Czego się tak pchacie?

Nagle zgiełk ucichnął; naprzeciwko ogromnego tłumu stanął wielki minister, bardzo blady i wzruszony. Dał znak, aby się uciszono, i rzekł donośnym głosem:

— Ludu z miasta Trzech Wież! Bóg sprawił że dawno opłakana wraca królowna nasza. Poznaję ją, a wy wszyscy poznajecie jej sukienkę. Ta sama to twarz, te same oczy błękitne i uśmiech ten sam.

— To ona! to ona! — zakrzyknął tłum.

— I ja jestem tego pewny. Pamiętajcie jednak, że dziwy się dzieją na tym świecie. A któż zaręczy, że to wszystko nie jest sztuką czarnoksiężką?

— Nie! nie! — zawołał tłum wielkim głosem.

— Daj to, Boże! Wszystko się wyjaśni. Zanim jednak zawiadomimy króla i królowę, musimy się dowiedzieć, jak to się stało, że zjedzona przez wilki, wraca dzisiaj żywa. Kto są jej towarzysze, ten piękny chłopiec i ten brzydki pies? Aż nie są to pachołkowie szatana?

Słyszając to Janek, blady i pełen gniewu, skoczył na kamień i, ile tylko sił miał w piersi, głos swój nimi napełnił. Tłum ludzi zamarł w oczekiwaniu, a on zawołał:

— Patrzcie! Czynię znaki krzyża świętego, na dowód, że nie szatan nas tu przysyła. Bogiem się świadczę, że wszystko, co powiem, jest prawdą świętą.

I z ogniem w oczach zaczął opowiadać wszystko: o męce Zosi, o mądrości Robaka i o cudownym ocaleniu. O sobie mówił, że jedynie był przy tym wszystkim.

Ludzie zaczęli szlochać, padali na kolana przed Zosią, całowali jej łachmany. Inni porwali na ręce Janka, wołając: „To on ją zbawił!” Inni wreszcie otoczyli Robaka i wznosili na jego cześć okrzyki.

Wielki minister też płakał, ale znowu uciszył tłum i zawołał:

— Nie kłamie ten chłopiec ani błękitne oczy tej dziewczeczki nie kłamią. Ona to jest! Ja jednak muszę uczynić próbę niezawodną, lepszą niż wszystkie świadectwa i wszystkie dokumenty. Będzie to próba serca. Wszystko na świecie udać można, ale nikt i nigdy nie oszuka serca. Najmilsza Zosiu królowno! Nie gniewaj się, że uczynię to, co uczynić muszę.

— Czyń, panie, jak twoja wola — rzekła Zosia.

— Słuchajcie, ludzie! — zawołał minister. — Uczynimy tak: niech wszystkie dziewczynki tych lat, co nasza królowna, i tego wzrostu wyjdą z tłumu i staną osobno. Uczynicie to szybko! jak najszybciej!

Tłum się rozstał i ze sto pięknych dziewczynek, niezmiernie tym wszystkim przejętych, stanęło osobno.

— Niech teraz królowna ukryje się między nimi!

Zosia pobiegła i uczyniła, jak rozkazał.

— Co to będzie, co to będzie? — szeptało tysiące ludzi.

— Ten człowiek jest dowcipny — rzekł Robak do Janka. — Już go rozumiem.

— A teraz — zawołał donośnym głosem minister — stójcie wszyscy w wielkiej ciszy i w bezruchu. Z dziewczynek niech żadna nie drgnie ani niech nie mrugnie okiem. Ja zaraz wrócę.

Wszyscy zapadli w osłupiające milczenie. Słysząc było, jak wiatr porusza muślinowe zasłony. Słysząc było nawet bicie ludzkich serc.

Po chwili wyszedł z pałacu minister i wiódł oboje królestwo. W Zosi serce uderzyło mocno, lecz nie dała nic znać po sobie. Król i królowa w żałobnych byli szatach, a oczy mieli pełne łez.

— Co to wszystko znaczy, ministrze? — zapytał król, szlochając.

— Miłościwy panie! — rzekł minister. — Lud błaga, aby dostojna królowa przeszła wśród orszaku tych oto dziewczynek i każdej zajrzała w oczy.

— Nic nie ujrzę, bo mam oczy pełne łez — rzekła cicho królowa.

— O, Boże! — szepnął Janek.

— Beknę! — szepnął Robak.

— Uczyn to, uczyn, miłościwa pani! Może wśród tych dziewczynek jest która podobna do naszej królowy Zosi, a to ci przypomni najmilsze dzieciątko.

— Bardziej to tylko rozkrwawi mi serce! — jęknęła królowa. — Czy muszę to uczynić?

— Cały naród błaga cię o to!

— Dobrze, więc zajrzę w ich niewinne oczęta.

Weszła w gromadę dziewczynek i idąc od jednej ku drugiej, patrzyła każdej długo w oczy. Minęła ich już ze dwadzieścia, aż stanęła przed Zosią. Patrzyła w jej oczy niebieskie, obejrzała jej łachmany i już—już miała iść ku następnej, kiedy nagle wróciła raz jeszcze i spojrzała znowu. Patrzyły w nią oczy jak gwiazdy, a patrzyły z taką miłością, że dreszcz przebiegł po smutnej królowej. Znowu chciała odejść i znowu wróciła; jakaś wielka siła nie pozwalała jej oddalić się ód tego prześlicznego stworzenia w łachmanach. W sercu poczuła jakąś tkliwość, a w duszy nagły niepokój. Przetarła ręką oczy, zachwiała się na nogach; nagle chwyciła dziewczynkę w ramiona i wzrokiem tak ostrym jak sztylet spojrzała w jej oczy raz jeszcze. Musiała wtedy przez te oczy ujrzeć duszę, bo krzyknęła tak, jakby w niej serce pękło:

— Matko Najświętsza! To moja córka. I zemdlą.

Pochyliła się nad nią Zosia i zaczęła całować te oczy matczyne, co tyle za nią wylały łez.

Płakał król, płakali pachołkowie. Płakał cały lud, a wszyscy dziwili się wielkiej mądrości ministra.

Rzeka Łez wylała dnia tego tak, że się w całym kraju obawiano srogiej powodzi, lecz nazajutrz zaczęła opadać, a trzeciego dnia wyschła.

Co się potem dalej działo? Wielki Boże, któż opowie! Tańce, radość i wesele, oszalało całe miasto! Pili miody, pili wina, ogromiaste piekli woły, uczty trwały trzy miesiące, bo z najdalszych krańców świata, zewsząd przybiegali ludzie, aby ujrzeć choć raz w życiu słodki uśmiech naszej Zosi.

Całe państwo zakochało się w Janku i Robaku. Sława ich czynów była tak niezmierna, że gdziekolwiek się tylko pokazali, wiwatowano na ich cześć i strzelano z moździerzy. Tego jednak Robak nie lubił.

— Może mnie jaki kłak z moździerza — powiadał — trafić w oko i co będzie?

Król go chciał mianować baronem i dać mu patent na pergaminie.

— Co to jest pergamin, miłościwy panie? — zapytał Robak.

— Jest to wyprawiona ośla skóra, miły Robaku! — rzekł król.

— Czy to można zjeść?

— Nie bardzo.

— W takim razie jest to rzecz bez pożytku. Po co mi takie rzeczy? Ja mam inną prośbę do miłościwego króla...

— Spełnię każdą twoją prośbę, dzielny Robaku! — zakrzyknął król. — O co prosisz?

— O to mianowicie, aby — jeśli w kurniku zniknie nagle jakaś kaczka — nie szukano winowajcy i aby o to nie było krzyku. Niech to zostanie między nami. Bo musisz wiedzieć, miłościwy panie, że na kaczki jestem dziwnie zawzięty: głupie to i strasznie krzyczy.

— Cha! cha! cha! — śmiał się król. — A niech cię lichy! Używaj, Robaku, używaj!...

— Ale za to — szepnął Robak — jeśli ty, miłościwy panie, cokolwiek przeskrobiesz, ja też słowa nikomu nie pisnę.

Król jegomość tak się zaczął śmiać, że spadł z tronu.

A gdy lat minęło parę, rzecz się stała niesłychana. Uderzono we wszystkie dzwony, miasto przystrojono w róże, bo Zosieńka, bo królowna na swój ślub szła do kościoła. Czy poślubi królewicza, czy też zamorskiego księcia? Nigdy, nigdy i przenigdy! Janek z lasu przy niej kroczy, cały w złocie i w atlasach; diamenty na nim świecą, a najjaśniej wśród nich błyska jeden cudny i bez skazy: jego serce, jego serce.